

# aleje 3

NUMER 62 lipiec - sierpień 2007  
ISSN 1427-8812 CENA 2 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





*Robert Murakowski, Hot Jazz Spring 2007*



*Z cyklu „Pamięć kamienia” (zdjęcie w podświetleniu)*



*„Naszynnik gołębicy”, spektakl w ramach XVII MFMS „Gaude Mater”*

# aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane  
przez Urząd Miasta Częstochowy

## Wydawca

Biblioteka Publiczna  
im. dr. Wł. Biegańskiego  
w Częstochowie  
Al. Najświętszej Maryi Panny 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
[www.biblioteka.czest.pl](http://www.biblioteka.czest.pl)

## Redakcja

Aleje NMP 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
[aleje3@op.pl](mailto:aleje3@op.pl)

Teksty niezamówione nie będą zwracane.  
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania  
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze  
odzwierciedlają poglądy Redakcji

## Red. Naczelny

Marian P. Rawinis  
Tel. 0505-666-486  
[mprawinis@poczta.onet.pl](mailto:mprawinis@poczta.onet.pl)

## Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

## Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie  
[www.sowadruk.pl](http://www.sowadruk.pl)  
tel. (0-22) 431-81-40

Publikacja współfinansowana  
przez Samorząd Woj. Śląskiego



W lipcu i sierpniu gościmy w Częstochowie najwięcej pątników. W okresie letnim przypadają najważniejsze święta Maryjne, a wakacje sprzyjają podróżowaniu. Ponadto, współczesne możliwości komunikacyjne, daleko lepsze niż kiedyś, otwarte lub prawie otwarte granice, pozwalają nam odwiedzać miejsca kultu na całym świecie. Spotykamy tam tysiące pątników, napływających nieprzerwanie od wieków, jak w na Jasnej Górze czy w Santiago de Compostela.

Ale istnieją też sanktuaria, gdzie ruch pielgrzymkowy był kiedyś znaczny, a dziś ledwo go widać. Prawdopodobnie też niewielu mieszkańców naszego miasta wie, że istnieje miejsce nazywane kiedyś Podolską Częstochową.

To Podkamień, małe miasteczko niedaleko Brodów, na Ukrainie. Stoi tam na wzgórzu dawny obronny klasztor dominikanów, sławny z cudownego obrazu Matki Boskiej Śnieżnej. Podkamień, święte miejsce Podola i Rzeczypospolitej, przez stulecia stanowił cel pielgrzymek katolików, greko-katolików i prawosławnych.

Klasztor założył podobno sam św. Jacek Odrowąż, dominikanin i apostoł Rusi, na początku XIII wieku. W ciągu długich dziejów był wielokrotnie oblegany, niszczone - i uparcie odbudowywany. Dla pielgrzymia Podkamień i Jasna Góra są do siebie bardzo podobne, ich dzisiejszy kształt powstał w tym samym okresie historycznym.

Wzgórze, mury obronne, wysoka barokowa wieża. Podolską Częstochową miał nazwać podkamaieńskie sanktuarium król Jan III Sobieski, jeden z dobroczyńców klasztoru. Wspierał finansowo budowę nowej bazyliki, modlili się tu wybitni ludzie wielu narodowości. W roku 1727, gdy koronowano cudowny obraz koronami papieskimi, zgromadziło się 200 tysięcy wiernych – jak na Jasnej Górze 10 lat wcześniej.

Najtragiczniejszy dla tego miejsca okazał się wiek XX. W roku 1915 klasztorne wzgórze znalazło się na linii frontu rosyjsko-austriackiego, a nieco później nadeszły straszne doświadczenia totalitaryzmu. Wzgórze, na którego szczyt zmierzały kiedyś pobożne pielgrzymki, stało się miejscem omijanym ze strachem i bojaźnią. Klasztor bowiem przestał być klasztorem – stał się zakładem dla umysłowo chorych. Kościół przestał być kościołem – stał się gospodarstwem hodowlanym, więzieniem i katownią NKWD.

Cudowny Obraz Matki Bożej Śnieżnej ocalał i - przez Lwów - trafił do dominikanów we Wrocławiu

Niedawno wzgórze przejęli greko-katolicycy oo. studyci. Marzą, by Podkamień, dziś piękna ruina, znowu stał się pięknym sanktuarium. A do Podolskiej Częstochowy zaczynają napływać pątnicy, jeszcze bardzo cieniutkim strumyczkiem.

Pielgrzymi patrzą na postrzelane z automatów ściany bazyliki, chodzą po dziedzińcu nasiąkłym krwią zbiorowych egzekucji, modlą się w krypcie, w której torturowano i zabijano niewinnych a wiernych. Przystają przed kolumną, na której szczytcie znajduje się figura Matki Bożej z Dzieciątkiem. Stoi tu od 1719 roku, prawie nienaruszona. Tylko te rany od kul na policzku...

*Marian Piotr Rawinis*

## Ktokolwiek będziesz w ukraińskiej stronie...

Ktokolwiek będziesz w ukraińskiej stronie, łatwo odnajdziesz tam ślady częstochowskie. Kresy dawnej Rzeczypospolitej. Historia, literatura, film. I emocje. Bardzo wiele emocji.

### Kamieniec Podolski



Kamieniec Podolski. Widok z miasta na twierdzę. Pan Wołodyjowski, oblężony tu w 1672 roku przez wojska tureckie, wysadził się w powietrze. „Do nieba idzie mały rycerz (...) do nieba jest najbliżej z Polski” (Jacek Kaczmarski)



Do katedry w Kamieńcu turecki sułtan wjechał niegdyś konno.

Przed katedrą mużulmański minaret. Pozostał tu jako warunek traktatu pokojowego z r. 1699, kiedy Podole wróciło do Rzeczypospolitej. Na szczycie minaretu, dostawiona w połowie XVIII w., złota figura Matki Bożej.



### Zbaraż



Odbudowywane fortyfikacje dawnego Zbaraża, oblegane niegdyś przez Kozaków i Tatarów. Nie robią wielkiego wrażenia, ale przecież stąd właśnie pan Skrzetuski ruszył na swoją wielką wyprawę ...

Historyczny kościół św. Antoniego w Zbarażu, widoczny z zamku, nie jest – jak głoszą przewodniki – zdevastowaną ruiną. W kościele



zachowało się niewiele z oryginalnego bogatego wyposażenia. Trwająca renowacja pozwala mieć nadzieję na przywrócenie choć części dawnej świetności.



### Krzemieniec



Krzemieniec, miejsce urodzin Juliusza Słowackiego. Widok na miasto z Góry Bony pozwala dostrzec budynki, w których mieściło się sławne Liceum Krzemienieckie.



W kościele parafialnym znany pomnik Juliusza Słowackiego. Zawsze leżą pod nim świeże kwiaty.

Na ścianie kościoła epitafium, zdobione obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej: Amelja z Tyrasów Pomorska, najlepsza córka, żona i matka, wzorowa kobieta, najszlachetniejsze serce i umysł wielki i niepospolity, zgasła w Bogu jako ofiara poświęcenia d. 18 lipca 1897 r. w wieku lat 33.



## Podkamień

Podkamień, nazywany kiedyś Podolską Częstochową. Obronny klasztor na górze, kiedyś cel licznych pielgrzymek katolików, greko-katolików i prawosławnych.



Wieża kościoła nieprzypadkowo przypomina wieżę Jasnej Góry. Podobnie jak jasnogórska, powstała pod koniec XVII w. Wnętrze bazyliki zdobyli niegdyś liczne dary polskich monarchów, m.in. Jana III Sobieskiego.



Klasztor był wielokrotnie oblegany i niszczony. Ściany kościoła noszą ślady kul, a ziemia dziedzińca przesiąknięta jest krwią niewinnych ofiar. Złota figura na kolumnie powstała przed trzystu laty w Gdańsku. Od czasu ostatniej wojny Matka Boża boleśnie przypomina Ikonę Częstochowską – Jej twarz jest poraniona pociskami złoczyńców.

## Drohobycz



Witraże znowu tu będą. Jeden z odnowionych fragmentów - obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Drohobycz. Kościół p.w. Wniebowzięcia Matki Bożej, Św. Krzyża i Św. Bartłomieja ufundował król Władysław Jagiełło w XV w. Dziś świątynia odzyskuje swój kształt po latach celowego niszczenia w okresie panowania totalitaryzmu



Ktokolwiek będziesz w ukraińskiej stronie, własną dłońią dotknij tych kamieni...

## Zbigniew Burda – fotograf i fotografik

**Marian P. Rawinis:** *Czemu fotografia? Nie malowanie albo rzeźbienie?*

Z prostej przyczyny. Fotografia jest środkiem wyrazu plastycznego, obok malarstwa czy rzeźby, ale w fotografii potrzeba niewiele czasu na zarejestrowanie światłem tego co nas otacza - na filmie czy też na kawałku krzemowej płytki. Owszem, to wszystko są dziedziny plastyczne, ale różniące się zasadniczo. Fotografia pojawiła się ok. 170 lat temu, jej twórcą był Francuz Louis Daguerre, stąd była później nazywana dagerotypią. Ale już w średniowieczu malarze posługiwali się takimi urządzeniami jak camera obscura. W pomieszczeniu, w pracowni malarskiej, zasłaniano szczelnie okno pozostawiając jedynie maleńki otworek. Przed nim umieszczano odpowiednio skonstruowaną przesłonę z białą ściągą i szybą od góry. Na białej ścianie pojawiał się odwrócony stronami obraz, który za pomocą lustra kierowany był na szklaną taflę, na której kładziono cienki papier i szkicowano dokładnie obraz. Dzisiaj można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że „fotografia otworkowa” przeżywa swoisty renesans. Powstaje wiele klubów, gdzie uprawia się tę dziedzinę fotografii. Są nawet galerie, gdzie wystawia się fotografie, które powstały właśnie w ten sposób.

*Pamiętasz swoje pierwsze fotki? Kiedy i jakim sprzętem się posługiwałeś?*

Oczywiście, że pamiętam. Takich rzeczy się nie zapomina. Moim pierwszym aparatem, który dostałem od Ojca, był prosty, dużych rozmiarów, bo przecież na film zwojowy 6 x 9 cm. Ami. Kolejnym aparatem była Smiena, której szczęśliwym posiadaczem stałem się w dniu pierwszej komunii świętej. Chłopcy w tamtych czasach dostawali albo zegarki albo właśnie aparaty fotograficzne. Dzisiaj dostałbym zapewne laptopa. Moje pierwsze fotki? Byli na nich przeważnie moi rodzice i siostra. I mój pies.

*Jaka jest różnica między fotografem a fotografikiem?*

Właściwie żadna. Bo przecież równie dobrze można zapytać, jaka jest różnica pomiędzy stomatologiem a dentystą. Słowa fotografik, użył po raz pierwszy ojciec

polskiej fotografii, Jan Bułhak. Był to wybitny artysta, zwolennik „fotografii ojczyznej”, która miała propagować piękno polskiej ziemi. W latach 20. XX wieku był organizatorem życia fotograficznego w Polsce, w tym współzałożycielem i prezesem Fotoklubu Wileńskiego (1928) i Fotoklubu Polskiego. Niestety, podczas wojny spłonęła większość jego prac przedstawiających pejzaże, architekturę i portrety. Bułhak, używając słowa fotografik na określenie fotografa artysty, miał chyba na myśli rozgraniczenie pomiędzy fotografią rzemieślniczą i fotografią wykonywaną dla potrzeb wystawowych lub wydawnictw książkowych. Właściwie można powiedzieć, że obok fotografów i fotografików pojawiła się dzisiaj trzecia forma – fotograf prasowy lub inaczej – fotoreporter. Ale czy fotograf rzemieślnik lub fotoreporter nie może być również artystą?

*Jak to się stało, że fotografia muzyczna jest jedną z Twoich głównych specjalności?*

Stało się to za sprawą nieżyjącego już wieloletniego prezesa Towarzystwa Fotograficznego w Częstochowie, Edmunda Mularza. Był on swego czasu fotoreporterem w „Życiu Częstochowy”, ale również znakomitym dokumentalistą życia filharmonii w naszym mieście. Pamiętam, że zabierał mnie, przyszłego adepta sztuki fotograficznej, na koncerty. Można by rzec, że byłem jego asystentem. Edmund, z którym później się zaprzyjaźniłem i który wywarł wpływ na mój swój styl fotograficzny, pokazał mi, w jaki sposób należy podchodzić z aparatem fotograficznym do muzyki. Nie używał on nigdy żadnej lampy błyskowej, które i tak na ówczesne lata nie były doskonałe. Korzystał ze światła, które było światłem zastanym, używał tylko i wyłącznie filmów czarno-białych. Wywoływał je później przy mnie i pokazywał efekty swojej pracy. Tak właśnie narodziła się nasza wieloletnia przyjaźń. Edmund Mularz umarł w lipcu 2000 roku, dwa miesiące po śmierci mojego Ojca. Pamiętam, że spotkałem go na dzień przed pogrzebem mojego Taty. Powiedział mi wtedy, że idzie do szpitala, ale jak wyjdzie, to planuje zrobić wielką, zbiorową wystawę członków Towarzystwa Fotograficznego. Niestety, już nie wrócił. Ja dzisiaj skrzętnie wykorzystuję wiedzę, jaką przekazał mi Edmund, nie tylko przy fotografowaniu muzyki klasycznej, ale również jazzowej, prowadząc oczywiście i swój, wypracowany przez lata, warsztat i własne, indywidualne spojrzenie.

*Kiedy uważasz, że zrobiłeś bardzo dobre zdjęcie, to komu je najpierw pokazujesz?*

Hm, trudno odpowiedzieć. Każdy ma przecież inne spojrzenie i nie można się temu dziwić. Zazwy-

czaj zdjęcia oglądam sam. Oglądam je wielokrotnie. I czasami jest tak, że zdjęcie, które sam odrzuciłem z tych czy innych względów, zostaje ponownie przeze mnie dostrzeżone. Tak było wielokrotnie. Bo ze zdjęciami trzeba się jakby zaprzyjaźnić, oglądać je wiele razy. Dostrzegamy wtedy w nich to, co za pierwszym razem było mało istotne. Tak samo jest przecież i z malarstwem. Trzeba wiele czasu spędzić przed gotowym płótnem, rozkoszować się nim, aby poznać jego ten inny plan.

*Dziś ludzie są oswojeni z widokiem aparatu fotograficznego i chyba chętnie pozują w różnych sytuacjach? Czy to ułatwia pracę i daje możliwość zrobienia dobrego zdjęcia?*

Chętnie pozują? No, nie do końca. W mentalności pokutuje do dzisiaj stereotyp, zapożyczony z minionej epoki, że fotograf jest wrogiem - manipulatorem a nawet i „szpiegiem”, że fotografuje po to, aby później oczernić. Można by w tym miejscu polemizować, czy to prawda czy nie, jak również zadać pytanie, czy seriale brazylijskie mają coś wspólnego z rzeczywistością. O tym, że dla niektórych jestem „wrogiem” mogłem osobiście się przekonać, kiedy pewna grupa osób skupiona wokół „jedynie słusznej sprawy”, obrzuciła mnie stekiem inwektyw, nie bacząc nawet na to, że znajdowaliśmy się blisko miejsca znanego wszystkim Polakom. W tych ludziach nie było nic pozytywnego, tylko sama agresja, nie warto tego komentować. Opisana przeze mnie sytuacja dotyczyła ludzi w podeszłym wieku. Myślisz, że z młodymi jest inaczej? Również



Fot. Zbigniew Burda

nie do końca. I u nich występuje czasami niczym nieuzasadniona agresja, a czasami cwaniactwo. Na szczęście są to sytuacje marginalne. Fotografowałem nie tak dawno, na potrzeby katalogowe, pewne miasto niedaleko Częstochowy. Mogę powiedzieć, że spotkałem tam życzliwych ludzi, którzy okazali mi pomoc, pracując nawet jako stażysty. Byli to młodzi ludzie, więc dawna mentalność powoli się zmienia, dochodzi do głosu zdrowy rozsadek i nowoczesne postrzeganie świata. Tamto powoli będzie odchodzić w niebyt. Świat, należy pamiętać, idzie do przodu, nie cofa się. Tak też jest i z mentalnością. To co złe, samo się niszczy.

*Co myślisz o fotografii reportażowej, którą czasem uprawiasz? To dziennikarstwo czy sztuka?*

Jedno i drugie. Fotografia reportażowa również jest sztuką. Oczywiście nie można powiedzieć, że każdy, kto uprawia fotoreportaż, jest artystą, podobnie jak nie można powiedzieć, że każdy, kto gra na gitarze, jest jej wirtuozem. Niemniej jednak dla takich właśnie fotoreporterów, będących jednocześnie artystami, powstała we Francji w latach 40. ubiegłego wieku Agencja Fotograficzna Magnum. Skupiała i skupia ona najlepszych światowych fotoreporterów w każdej dziedzinie. Ich dzieła zdobią ściany najbardziej prestiżowych galerii fotograficznych świata, od Nowego Jorku do Londynu. Wśród nich są Francuzi, Węgrzy i Rosjanie. Wiek XX i trwające w nim wojny i inne konflikty spowodował, że narodził się nowy kierunek w fotografii, reportaż. Należy tutaj wymienić najlepszych reporterów wojennych, chociażby Alfreda Eisenstaeda za zdjęcie „Nogi etiopskiego żołnierza” z 1935 r., czy też Dmitrija Baltermanca i jego fotoreportaż z Kercza z 1942 r. i chyba największego z ówczesnych, Roberta Capę, który wslawił się zdjęciami z lądowania aliantów w Normandii w 1944 r. Robert Capa był z pochodzenia Węgrem. Zginął śmiercią tragiczną podczas wojny w Wietnamie 25 maja 1954 r., kiedy jego jeep wjechał na minę podłożoną na drodze. Przywołuje się tutaj również postać naszego najlepszego reportera wojennego, Waldemara Milewicza, zastrzelonego w Iraku 7 maja 2004 r. Tak więc dla niektórych fotograf jest nadal wrogiem. I jeszcze jeden fotoreporter. Brazylijczyk Sebastião Salgado. Niedościgniony. Członek Magnum. Fotografuje ludzi opuszczonych, wypędzonych ze swojej ziemi, nędzarzy, biedaków pracujących nieludzką w odkrywkowych kopalniach złota w Brazylii, w błocie i wodzie. W miejscu, gdzie ludzie giną tak szybko, jak szybko tam się pojawiają. Jego czarno-białe fotografie przemawiają do widza jakąś niezgłębioną mocą, światłem i cieniem płynącym z fotografowanych twarzy. Są to zdjęcia niezwykle, niepowtarzalne. Obok takich dzieł nie przechodzi się obojętnie. Może to zasługa optyki,

jakiej używa Salgado? Fotografuje on bowiem legendarną, niemiecką Leicą R6.

*Miałeś okazję zrobienia fotografii wybitnych, ale konkretne okazje Ci uciekły?*

Owszem, miałem. Ale nie chcę do nich wracać pamięcią, aby nie przywoływać smutnych chwil. Stało się to oczywiście z powodu zawodności sprzętu. No cóż, wysoka technika nie idzie czasami w parze z niezawodnością. Można by powiedzieć, że dawniejszy sprzęt fotograficzny, całkowicie mechaniczny, był bardziej niezawodny.

*Ille wiedzy wyniesionej ze Studium Fotograficznego przydaje Ci się w pracy dzisiaj? Korzystasz z tamtych wiadomości, czy posługujesz się raczej wiedzą i doświadczeniami z praktycznej pracy z aparatem fotograficznym?*

Bardzo wiele. W tamtych czasach, kiedy jeszcze nikt nie myślał o aparatach z zapisem cyfrowym, fotografowało się zwykłymi aparatami mechanicznymi na film 35 mm. I były to filmy czarno-białe. Mało tego, trzeba było samemu wywołać i zrobić z nich powiększenia pod powiększalnikiem. Oczywiście, chemię do wywoływaczy zestawiało się samemu za pomocą wagi laboratoryjnej i odpowiednich odczynników chemicznych. Jeszcze dzisiaj, kiedy fotografuje aparatem analogowym z filmem czarno-białym wywołuje je sobie sam, gdyż wiem, że będzie to dobrze zrobione. To już taki nawyk. A samo składanie odczynników i wywoływanie urosło do rangi jakiegoś misterium tworzenia z „niczego”. Bo przecież ten obraz utajony na emulsji fotograficznej, trzeba jakoś „wywołać”. Nie za pomocą magii oczywiście, tylko chemii. Ale czy nie ma w tym rzeczywiście trochę z magii, a sam fotograf w tym momencie nie jest magiem? Bo to wszystko miało i ma duszę, żyło i żyje własnym życiem. Tak jak w filmie „Powiększenie” Michelangelo Antonioniego. Dzisiejsze aparaty naszpikowane są „po zęby” elektroniką. I co z tego. Wystarczy bardzo prozaiczna sprawa, wyzerpią się baterie, nie mamy zapasowych i nasze cudo techniki możemy powiesić na pasku na drzewie, gdyż jest bezużyteczne. Mając w torbie ukryty przed oczami kolegów aparat mechaniczny, możemy go ukradkiem wyjąć, i rozglądając się ukradkiem, dyskretnie dokończyć pracę. Ale co wtedy, gdy nie mamy w naszej torbie takiego „zabytku”? Pozostaje się i płakać. Rozwój techniki niesie również ze sobą i te mankamenty. A sam aparat staje się bezduszną „maszyną” do rejestrowania wydarzeń.

*Dziękuję za rozmowę.*



Aleksander Wierny

## Czas pielgrzymowania

*Patrzę na pielgrzymów od ponad trzydziestu lat, są częścią mojej wędrówki przez czas. Spotykam ich każdego roku, w sierpniu, gdy idę po zakupy, albo wracam z pracy, czasem przyglądam im się celowo, z nieco bezmyślną ciekawością tubylca. Kilku uwieczniłem na fotografiach, a ponieważ nic o nic nie wiem i nigdy się już nie spotkamy, wymyśliłam ich historię, nadaję własny sens zdjęciom, żeby ich zrozumieć, żeby odnotować i zatrzymać w pamięci tych kilka przystanków w mojej wędrówce przez czas, w tej pielgrzymce.*



Starszy mężczyzna w eleganckiej koszuli, ze starmodnym zegarkiem na przegubie, leży na błoniach pod wałami klasztoru, siwizna włosów odcina się wyraźnie od zieleni traw. Mężczyzna podpiera dłońią pochyloną głowę, zamknął oczy, może przybył tutaj ostatni raz, wie o tym, żegna się samotnie z życiem w świętym miejscu?



Czterej księża w euforii przedziera się pod szczyt, przepychają się z porządkowymi, którzy siłą próbują kierować strumieniami płatników i chwytają się za ręce tworząc kordon, ale księża, niczym dawni rycerze, którzy szturmując twierdzę pokonali już pierwszy obronny szaniec, w uniesieniu nie reagują na przeciwności, pewni zwycięstwa szturmują i nie zważają na przeszkody.

Hippisi żonglują maczugami, nie zwracają uwagi na ustawione u swoich stóp miseczki, a te szybko zapelniają się drobnymi monetami. I choć oświetla ich to samo słońce co pielgrzymów, pochodzą z innego plemienia, są odległymi potomkami kontestatorów, którzy próbowali zmienić świat, ale ugrzęźli w bagnie codzienności a ich synowie cyrkowymi sztuczkami zabawiają gawieź.



# PIELGRZYMKI



Masywny mężczyzna na inwalidzkim wózku, w czerwonym t-shircie, nie widzę jego twarzy, jest odwrócony, wznosi ramiona w geście zwycięstwa, jakby właśnie strzelił decydującą bramkę w piłkarskim meczu. Przyjmuje gratulacje od jasnowłosej dziewczynki – wygrał, ma prawo do radości przynależnej królom sportu w chwili triumfu.



Młodzi, kilkunastoletni chłopcy, szczupli i opaleni, nadzy do pasa, grają i śpiewają w podjasnogórskim parku religijne pieśni. Zachwycone nastolatki otaczają ich półkołem, ale muzycy nie patrzą na dziewczęta, pozornie ich uwagę całkowicie pochłania rytm, melodia i słowa, lecz to nieprawda, każdym nerwem czują na sobie wzrok dziewczyn i choć o tym nie wiedzą i używają innych słów, śpiewają *Pieśń nad pieśniami*.



Kilkuletnia dziewczynka patrzy w niemym zdumieniu na leżących na betonowych płytach pątników, którzy, pogrążeni w modlitwie, oddają cześć Czarnej Madonnie. Nie rozumie, dlaczego przybrali taką pozycję, jeszcze nie wie, jaką moc ma poświęcenie dla wiary, ale już budzi się w niej empatia wobec ludzi. Opiera małe dłonie na plecach, na wysokości nerek, rozumie, że oddawanie w ten sposób czci może sprawiać ból, zdumiewa ją dobrowolne poddanie się cierpieniu i właśnie odebrała pierwszą lekcję dorosłości.

## Różnorodnie i pokojowo czyli (możliwa) Utopia

Z Mariuszem Borowikiem  
rozmawia Dominika Radkowska

**UTOPIA** – klub muzyczny założony w Częstochowie przez Mariusza i Dorotę Borowików, Roberta Dylewskiego i Grzegorza Soję działający od maja 2002 do lutego 2007. Dzięki aktywności Utopii Częstochowę odwiedziło bardzo wiele zespołów i wykonawców reprezentujących różne gatunki muzyczne (rock, punk, hip-hop, metal, reggae, dancehall, jazz i in.), zarówno mających wieloletnią renomę w kraju, jak też tych, które w klubie stawiały pierwsze kroki. Były wśród nich Daab, T.Love Alternative, Lech Janerka, Pogodno, Homo Twist, Armia, Świetliki, Pustki, Mech, Coma, Cool Kids of Death, Krzyż:Kross, Zabili Mi Żółwia, Kombajn Do Zbierania Kur Po Wioskach. Miało tu miejsce ponad 400 koncertów. Odbываły się również spotkania literackie, imprezy taneczne, działała Scena Czytania Dramatu Teatru im. Adama Mickiewicza. W lutym 2007 klub zamknięto z powodów prozaicznych – właściciel lokalu postanowił zmienić jego przeznaczenie.

**MARIUSZ BOROWIK** – założyciel i animator sceny muzycznej klubu Utopia (obecnie istniejącego we wspomnieniach), propaguje energię muzyczną, teatralną, literacką, pisze prozę (na razie w ukryciu), kaligrafuje, pozytywnie łączy ludzi.

**Dominika Radkowska:** Wykonywałaś w życiu różne zajęcia: sprzedawałaś książki, płyty, pracowałaś dorywczo, pisałaś teksty, wyrażasz się wizualnie. Jak zrodził się pomysł prowadzenia klubu muzycznego?

**Mariusz Borowik:** Od wielu lat chodzimy po różnych miejscach, bo jesteśmy zainteresowani ich energią, muzyką, towarzystwem ludzi. W tym miejscu moi znajomi mieli lokal ponad dziesięć lat temu. Nazywał się Red Hot. Utkwiło nam ono w pamięci. Później usłyszałem, że osoba prowadząca lokal chce sobie odpuścić to działanie i tak, dzięki przyjaciołom, tam trafiłem, zapytałem – od tego się zaczęło... Byliśmy szóstym pomysłem w tych pomieszczeniach. Myślę, że jakąś energię zostawiliśmy po sobie. Teraz jest tam pizzeria, więc wiadomo – mniej koncertów, więcej pożywienia, zupełnie inaczej...

*Czy inaugurując działalność klubu miałaś plany i świadomość tego, jakie rozmiary i rangę przybiorze to przedsięwzięcie, że będzie tak duża częstotliwość imprez i taka chęć grania ze strony grup muzycznych z całej Polski w niewielkim klubie w średnim mieście?*



Fot. Piotr Dłubak

Na początku działania Utopii, w maju 2002, nie mieliśmy jeszcze dolnej sali. Moją ideą od samego początku było urządzenie estrady na dole, gdzie byłaby możliwość grania koncertów. Takie było główne założenie Utopii, żeby grać koncerty. W naszym mieście koncertów było mało. Chcieliśmy ruszyć scenę niezależną i sprowadzać zespoły, które w Częstochowie nigdy nie były albo dopiero się przebijały, albo istniały już od dawna, ale nie można było tutaj ich zobaczyć. Kiedy we wrześniu utworzyliśmy dół, zaczęliśmy pracować na to, żeby nas w Polsce zauważono i o nas usłyszano. Tak się to działo od kapeli do kapeli. Przez pierwsze dwa lata dzwoniłem po różnych dla mnie ważnych zespołach i artystach, prosiłem, żeby przyjechali, a po jakimś czasie zaufaliśmy sobie, kontakty wzajemne były na tyle przyjacielskie, że kapele zaczęły chcieć przyjeżdżać do nas. To była taka „poczta pantoflowa” – od zespołu do zespołu. Z niektórymi widzieliśmy się raz, potem drugi, potem niektóre co trasę chciały przyjeżdżać. Zapamiętałem nas i teraz, kiedy już nie ma Utopii, spotykamy się, pamiętamy o sobie. Myślę, że dalej jeszcze coś z tego się urodzi. Szkoda byłoby tych kontaktów, żeby to tak zupełnie umarło.

*Kto z Tobą tworzył Utopię?*

Nasza Utopia to było bardzo rodzinne miejsce. Na początku nas była czwórka: ja, moja żona Dorota, szwagier Robert Dylewski i Grzegorz Soja, pracujący z nami przez kilka pierwszych miesięcy. Później zostaliśmy we trójkę, bo – będąc miejscem niezależnym, mało komercyjnym – nie byliśmy w stanie Grzesiowi płacić pensji. Robert wykonywał dużo swoich działań, miał kontakty, zapraszał kapele. Pracowało z nami mnóstwo zaprzyjaźnionych osób, przy dużych wydarzeniach wielu ludzi nam pomagało, sami nie dawalibyśmy sobie rady – i za barem, i jakoś to wszystko ogarnąć. Także chłopcy z ochrony, ludzie od nagłośnienia, wszyscy bardzo pomocni. Utopię współtworzyło wiele osób i chciałbym im za to serdecznie podziękować, bo gdyby nie oni – nie dałoby się wielu działań wykonać.

*Wiele wydarzeń zorganizowanych z powodzeniem, nabrało charakteru cyklicznego. Mam na myśli np. Cathedral, spotkania literackie, Czytanie Dramatu, Slam Poetry.*

Pomyślałem na początku, że Utopia będzie służyła bardzo różnym ludziom, żeby mogli swoje rzeczy pokazywać, przedstawiać się, że będzie skupiała bardzo szerokie środowisko. Nigdy nie nastawialiśmy się na to, że Utopia będzie knajpą hiphopową, reggae'ową, czy rockową. Założenie było takie, że przede wszystkim będziemy szeroko otwarci na lu-

dzi, na młodych artystów. Generalnie chcieliśmy iść w taką stronę, żeby ta knajpa była troszeczkę „artystowska”, czy jak to tam nazwać. I żeby udało się nam tam spotkać ludzi starszych i młodszych, mogących wymienić się energiami, doświadczeniami, chęciami, to było najważniejsze. Jak patrzeć na te parę lat, widzę, że początkowo scena hiphopowa u nas mocno działała i wyszła w zasadzie od nas, także Adrian Jędryka z Rub Pulse'm, z reaggae'ową historią tu zaczęła, później przenosząc się do Rury – tam lokal jest większy, więcej możliwości. My na sam koniec skupiliśmy się głównie na koncertach, nie na imprezach. Są kluby, w których się więcej tańczy, u nas pod koniec działalności akcent był bardziej położony na prezentowanie zespołów, żeby młodzi ludzie mogli grać. To, co się przydarzyło z teatrem, uważam za świetną okoliczność, poznaliśmy się z panią dyrektorką Deszcz, która nam zaufała, polubiliśmy się i zrobiliśmy kupę fajnych Czytań Dramatu. To jest jej idea, moim zdaniem świetna. Ta impreza odbywała się raz w miesiącu, skupiała sporo osób. Wiele z tych czytań



Fot. Piotr Dłubak

potem weszło na deski teatru do realizacji. Mieliliśmy także pięć występów Teatru Gong – ze spektaklem „Emigranci” S. Mroźka. Michał Kula i Adam Hutyrą uczestniczyli w tym wydarzeniu. Utopia w takim swoim „undergroundzie” pasowała scenograficznie do tego spektaklu.

*Na forach związanych z Utopią zauważyłam, że wiele osób czekało na kolejne imprezy, zwłaszcza te powtarzające się. Niektórzy specjalnie przyjeżdżali do Częstochowy na spotkania, powiadamiali się o nich wzajemnie.*

Patrząc z perspektywy paru miesięcy, kiedy już nas nie ma, widzę, że Utopia była bardzo rodzinnym miejscem. Śmieszne było obchodzenie Wigilii w Utopii, bardzo lubiłem ten czas, kiedy po pastercie czy przed pasterką spotykali się ludzie z tak strasznie różnych bajek, że nieraz się obawiałem, że to nie będzie możliwe, żeby tak skrajnie różne charaktery, różne poglądy mogły siedzieć obok siebie, słuchać muzyki. Mocą Utopii było to, że była pokojowa, nie była miejscem wzbudzającym jakieś agresywne odczucia. Przychodziło się tam posłuchać muzyki. Graliśmy bardzo różne koncerty, potrafiliśmy w czwartek zagrać jakiś mocno punkowski koncert, następnego dnia mocno reggae’owy, w sobotę mocno metalowy czy zupełnie alternatywny, więc każdy, kto obserwował nasze działania, na pewno znalazł coś ciekawego dla siebie.

*Jakie gatunki muzyczne najbardziej Cię interesują?*

Ja stary chłop jestem, 1968 rocznik. My się wychowaliśmy na takiej hardrockowej muzyce, do dzisiaj strasznie lubię mocne granie. Ale nigdy się nie zamykałem na jeden rodzaj, bardzo dużo różnej muzyki słucham, czym jestem starszy, tym głowa mi się bardziej otwiera. Nadal jednak bardzo cenię sobie rockowe granie. Teraz się cieszę z koncertu Red Hot Chili Peppers. Czekałem wiele lat, żeby zobaczyć na żywo tę kapelę. Na pewnych koncertach zespołów, które bardzo ceniłem, nigdy nie byłem w Polsce i postanowiłem, że skoro już mamy tę scenę i możliwość, to będziemy się starali je zapraszać. Na wiele kapel nie było nas stać, ale z biegiem czasu okazywało się, że zespoły na tyle nam ufają, że specjalnie przyjeżdżają dla nas, zaczynając chociażby o jeden dzień wcześniej na trasę koncertową, żeby o nas zawadzić, jeśli byli w pobliżu na Śląsku czy w Opolu. Częstochowa jest korzystnie położona, właściwie wszędzie jest blisko – do Krakowa, Katowic, Łodzi, Wrocławia, Opoli. Znajdowałem jakieś zespoły, które chciałem zaprosić, dzwoniłem i mówiłem: słuchajcie, jesteście w takim małym miejscu w niezbyt wielkim mieście, ale

może byście zajrzeli? I tak się działo. Teraz, jak patrzę na scenę polską, to okazuje się, że mnóstwo zespołów mających w tej chwili dużo większą rangę i finansową, i duchową, i komercyjną, grało w Utopii jedne z pierwszych swoich koncertów. Były wśród nich Mitch & Mitch, Dick4Dick czy wiele nowych alternatywnych kapel, które w tej chwili biorą dużo więcej za występ i są bardziej znani. Tak ich powolutku wyławialiśmy i zapraszaliśmy. Ale też starych tuzów, bo i Variete grał u nas, i Apteka. Po Janerkę pojechałem do Wrocławia, żeby go namówić. Dużo grało legendarnych zespołów, starych i młodych. Dawaliśmy też pograć zespołom mało znanym, których wcześniej nie słyszeliśmy. Czasem bywało tak, że ktoś do mnie dzwonił i pytał, czy byłaby szansa zagrania. Jeżeli tylko był wolny termin, to nie było problemu, staraliśmy się ich ciepło przyjmować. Bywało często tak, że – wiadomo jak to jest z publicznością – jak jest zespół mało znany, to jednak trudno zapelnąć salę. Bywały takie bardzo intymne koncerty – Psychoocukier dla kilkunastu osób, Cool Kids of Death czy Pustki zagrały u nas dla czternastu osób, no śmieszne historie.

The Car is on Fire, w tej chwili już legendarny, zagrał trzy koncerty – też na pierwszym nie było za



Fot. Piotr Dłubak

wiele osób. Dorastaliśmy z nimi do historii, które się obcewne dzieją. Kiedy drużyny zaglądały do Częstochowy za rok, było już po kilkadziesiąt osób. Jest taki pierwiastek wzrostowy. Bardzo ważną sprawą jest, żeby w ogóle zespół grał, pokazywał się bez względu na to, że finansowo może to być kompletną porażką. To jest praca, którą trzeba wykonać, zespół musi przejechać Polskę, pokazać się, żeby od następnego sezonu zostać doceniony. Byłem teraz na koncercie naszych przyjaciół z Habakuka. Trwało wiele lat, skład zmieniał się kilka razy, ciężka praca, tyle koncertów i wreszcie im się to zwraca – mają świetnie zorganizowany zespół, grają w Glastonbury na największym festiwalu w Europie. Bardzo ważne jest, żeby sobie pomagać, jeżeli możesz komuś podać rękę i potem to owocuje, to jest bardzo fajne uczucie, nie do kupienia. W Utopii zawsze były najważniejsze kontakty międzyludzkie. Zawsze rozmawialiśmy z ludźmi spotkanymi po drodze. U nas po koncercie nie dało się z Utopii uciec, nie było garderoby, więc zespoły po koncertach zostawały, rozmawiały z fanami, mieliśmy czas na wymianę myśli.

*Jak rodziły się pomysły na imprezy? Powstawały stopniowo, czy mieliście precyzyjny plan tego, co będzie się działo?*

Wszystko rodziło się z tygodnia na tydzień. Częstochowa jest miastem, w którym trudno zachęcić środowisko studenckie do wychodzenia, działania. Na studentów specjalnie nie mogliśmy liczyć. Musieliśmy liczyć tylko na ludzi, których znamy i których co jakiś czas poznajemy. Ja swoje całe młode życie spędziłem „na ulicy” – zaczęliśmy od sprzedawania na zewnątrz książek, potem w księgarni, cały czas występowałem gdzieś w Alejach, więc sporo osób w mieście znam, znam ich rodzeństwa, „wychowuję się” też z młodszymi ludźmi. Na zasadzie takich znajomości wszystko się odbywało. Nie da się od samego początku wiele zrobić naraz. Były to stopniowe działania, pole dla młodych ludzi, zaspokajanie potrzeby miejsca, gdzie mogą coś robić swojego. Mają większą energię, inne spojrzenie na wiele rzeczy. Przykładem są ludzie, którzy nam zrobili świetne graffiti na dole – Łukasz Gawron i Bartek Stypka. Myślę, że skupiliśmy środowisko skate’owskie, punkowe i inne... Wszystkich młodych ludzi, którzy alternatywnie patrzą na życie, na muzykę, sztukę, książki. Ciesze się z tego, że sporo ciekawych osób z Utopii wyszło i jakoś to wszystko się ze sobą łączy, tutaj czy tam. Naszego miejsca nie ma, zresztą zawsze tak było na świecie, pewne miejsca giną, nowe miejsca się rodzą, to jest naturalne, a ludzie przechodzą z jednego miejsca na drugie. Teraz rozmawiając, siedzimy sobie u naszych przyjaciół w Cafe Belg i większość

osób, które tutaj zagląda, to jest towarzystwo „utopijne”, czy „gruszkowe”, czy z Teatru From Poland, tak że wydaje mi się, że stworzyliśmy środowisko ludzi niezależnie myślących. Dla mnie hasło „niezależny” oznacza, że ktoś ma wolny umysł, własne spostrzeżenia, nie jest to obszar zamknięty, wybiera to, co lubi najbardziej. Chciałem tu także wspomnieć o piśmie „42-200”, które promowało kulturę klubową w Częstochowie i redagującym je Andrzeju Piłkowskim, który działał tak samo utopijnie jak my, dzięki swojej energii i kilku zaprzyjaźnionym ludziom. Szkoda, że nie ma teraz takiego pisma dla młodych ludzi, pisanego ich językiem.

*Współtworzyłeś też wystrój klubu, jego wygląd i klimat. Przed otwarciem widziałam, jak własnoręcznie malowałaś coś na ścianie.*

Wystrój Utopii zaczęliśmy tworzyć z Jarkiem Koźmińskim, moim serdecznym kolegą, który jest mocną częstochowską postacią, nadal niedocenioną. Moja żona wniosła duży wkład, jej przyjaciółka Monika. Również George Khouri, tworzący potem dla nas plakaty i różne drobiazgi.

*Skąd pochodzi nazwa klubu?*

Utopia... Od początku zdawałem sobie sprawę, że będzie to przerwane działanie, że będzie to bardzo ciężka praca, która prawdopodobnie nie przyniesie owoców („owoców morza”, jak mówię), czyli nie będzie z tego pieniędzy. Utopia miała wiele porażek. Dążyliśmy do czegoś, co będzie bardzo trudno osiągnąć – złapać marzenie. Ono się jednak w jakimś stopniu zrealizowało, dotknęliśmy lekko brzegu utopii. Może nawet wyszliśmy na plażę utopijnej wyspy, ale potem oczywiście wciągnęła nas woda, jak to w Utopii. Pomyślałem też, że stworzymy taki utopijny klimat ludzki. Zgromadziliśmy się w gronach osób bardzo różnych, a mieliśmy tyle fajnych tematów, mnóstwo wieczorów przegadaliśmy. W lokalu nie było telewizora ani szafy grającej, ani żadnej maszyny, która by zakłócała kontakt międzyludzki. Takie mieliśmy nastawienie, żeby rozmawiać, słuchać muzyki, wymieniać się myślami. Myślę, że ten cel został osiągnięty – przez Utopię mamy kilka małżeństw, kilka rozwodów, jest kilkoro dzieci, działy się różne historie.

*Okolo 5 lat istnienia, 400 koncertów. Pamiętasz wszystkie wydarzenia, które się u Ciebie odbyły?*

Kiedy cofam się pamięcią, mam wrażenie, że to był jeden wielki weekend. Zmieniali się ludzie, zmieniały się zespoły. W tej liczbie koncertów jest przynajmniej 200 naprawdę poważnych bandów znanych

w Polsce, nie licząc już całego mnóstwa młodych, nieznanych załóg ze Śląska, Łodzi, Piotrkowa. Bywały takie tygodnie, w których przez cztery dni były koncerty. Trzeba było dbać o wszystko, o bezpieczeństwo, żeby wszyscy byli zadowoleni. Trudno wszystkim przewidzieć, ludzie są różni.

*Taka intensywność przygotowań do imprez musiała być bardzo wyczerpująca fizycznie.*

Przez te pięć lat chaosu w Utopii nie dało się złapać oddechu. Nie byliśmy przez te lata na wakacjach. Kiedy już wiedzieliśmy, że Utopia pomału traci swoje miejsce, zaczęliśmy ją żegnać, chcieliśmy na końcu pokazać jeszcze sporo rzeczy, w weekendy była zabawa do rana. Teraz mam taki okres, że nie muszę każdego weekendu przygotowywać. Mam czas na to, żeby pochodzić w inne miejsca, popatrzeć. Muszę za to wykonywać różne zajęcia, żeby przeżyć. Ostatnio wyjazd do spalarni śmieci – uczestniczenie w rozbiórce pieca było fascynującym zajęciem, dającym nowe spojrzenie na życie. Nie wszystko się kończy na Utopii, na jednym działaniu. Uważam, że każdy człowiek w swoim życiu powinien robić różne rzeczy, bo po latach pewne sprawy zaczynają się nudzić, wpada się w rutynę. A chodzi o to, żeby zobaczyć i poczuć różne historie.

*Czy próbowałaś swoich sił w dziedzinie grania, tworzenia muzyki?*

Jest to jedno z moich niespełnionych marzeń. Jako młody chłopak coś tam próbowałem grać, a teraz, kiedy patrzę, jak świetnie technicznie grają młodzi ludzie, to aż mi wstyd. Myślę, że jeszcze kiedyś dla własnej przyjemności sobie pobrzdkam. Potrafię troszkę na basie, na gitarce, na bębnach też, powiedzmy, utrzymam rytm.

*Kilka lat temu „Aleje 3” publikowały Twój tekst. Podobno wydrukował Cię też „Raster”. Czy, poza prezentacją na ścianach Utopii, Twoja proza ujrzała światło dzienne?*

Od dawna jestem bardzo zainteresowany pisaniem. Od lat robię sobie notatki, szkice, myśli, które mnie drażą, cały czas przebywam wokół literatury. Tak sobie mówię, że jak dojadę do czterdziestki, to wreszcie się zbiorę i spróbuję coś wydać. Dotąd nigdy się o to nie starałem, nie zabiegałem, żeby teksty się gdzieś pojawiały, więc nie miały szansy. Do pewnych rzeczy trzeba dorosnąć. Jeszcze chyba nie jestem na tyle dorosły, żeby zmierzyć się sam ze sobą w wydanej książce. Myślę, że przyjdzie taki czas, kiedy będę bardziej dojrzały, pewny siebie i wtedy próbując pokazać to, co się w mojej głowie roi.

*Książki, płyty, muzyka, koncerty, pisanie – oprócz tych, i tak wielu – masz jeszcze inne żywioły?*

Przed wszystkim życie, ludzie, zabawa. Chociaż wcześniej taniec nie fascynował mnie, teraz sprawiają mi przyjemność jakieś formy ruchu, które pozwalają mi wciągnąć się w muzykę. Lubię uczestniczyć w imprezach, wyenergetyzować się, przebywać na spotkaniach z ludźmi, na papierosach, na alkoholu, na rozmowach. Zawsze coś z tego wynika. Z wieloma osobami w mieście mam dobry kontakt, dużo rzeczy ze sobą robimy. Ostatnio sporo czasu spędzamy z Robertem Czyżem – gitarzystą Rażonych Piorunców – fotografujemy, rozmawiamy, może kiedyś spróbujemy stworzyć band, może z Krzysiem Niedźwieckim z Habakuka. W Częstochowie jest mnóstwo zdolnych ludzi, w wielu dziedzinach. Nasz team, który został „wychowany” przez Utopię – Mateusz Szkop, Kacper Kapsa – to są „dzieci Utopii”. Kiedy się u nas pojawili, byli bardzo młodzi. Teraz wyrasta z nich kawał solidnej, świadomej energii. Noc Kulturalna, którą zorganizowali, była fantastycznym wydarzeniem.

*Wspomniałaś kiedyś o kaligrafii, którą czasem uprawiasz. Czy to jest Twoje spojrzenie w kierunku kultury Wschodu?*

Aż tak mocno w tę kulturę „wpuszczony” nie jestem, nie wnikam w nią głębiej. To jest dla mnie taka forma medytacyjna. Wyciągam duży arkusz i zapelniam go jakimiś wzorkami, czy jakimś „pismem tradycyjnym”, jak to nazywam. Ale nie robię tego tradycyjnymi technikami, tylko długopisami, żel-penami. Nie zetknąłem się z technikami malarskimi, chociaż kiedyś niby zamierzałem być malarzem... Nie potrafię dokładnie powiedzieć, skąd się to wzięło. Hmm, jest to jakaś forma odpoczynku. Będąc z jednej strony człowiekiem kochającym muzykę, hałas, zabawę i żywioły, z drugiej strony potrzebuję intymności, ciszy, samotności, lubię posiedzieć w domu z moimi dziewczynami. W moich zeszytach, rzadziej na dużych formatach, powstają czasem takie „wzorki”.

*Co we wczesnej młodości Cię kształtowało, inspirowało?*

Mam bardzo zdolnego i dużo bardziej znanego kuzyna – Arka Borowika, z którym się wychowywałem, nasi ojcowie przebywali razem. Z Arkiem założyliśmy pierwszy zespół, zrobiliśmy audycję radiową. Później inni zaczęli w tym uczestniczyć, muzyka się bardzo liczyła. Kupiliśmy pierwszą analogową płytę AC/DC. Jeździliśmy na koncerty, przeżywałem każdą nową płytę, gadaliśmy, staraliśmy się grać. Muzyka to jest wielki napęd, wielka miłość.

*A film? Lubisz film?*

Lubię. Ale nie przywiązuję takiej wagi do wiedzy o filmie. Nie mam w tej dziedzinie pamięci do nazwisk, tak jak pamiętam składy zespołów. Oglądam dużo filmów, mam swoich idoli – Seana Penna czy Johnny Deppa. Ale nie jest to dla mnie dziedzina, którą uważam za ciekawszą od rzeczywistości. Zawsze uważałem, że to ja tworzę film, że każdy mój dzień to jest opowiadanie i to z niego tworzy się film. Na obejrzenie filmów przyjdzie jeszcze czas na starość. Może sami nakręcimy kiedyś film...

*Pamiętasz jakąś imprezę, która samego Ciebie zaskoczyła swoim przebiegiem?*

Takich koncertów i imprez jest wiele. Na przykład koncert Apteki, Kodym grał go dwie i pół godziny tylko dlatego, że przyszedł pan Stefan zabrać jego piec Rivieri, za który nie zapłacił. Koncert był genialny. Przy większych koncertach, kiedy były roztopy czy deszcz, wychodziła woda ze ścian, które były nie zainstalowane. Na koncertach potężnych gwiazd – Tymona, Malęńczuka, Acid Drinkers – woda pojawiała się intensywniej. Same polskie sławy taplały się w wodzie. Przez to też był niesamowity klimat tego miejsca. Pierwszy koncert, jaki się w Utopii odbył, wykonała legendarna już grupa Krzyż:Kross. Chłopaki zagrali u nas parę nieprawdopodobnych koncertów. Dzięki Krzyżakowi były u nas Mikrowaflę i Super Girl&Romantic Boys, cała ferajna sceny alternatywnej. Cieszę się, że Krzyż:Kross narodził się w Utopii, chłopaki też będą to pewnie pamiętać do końca swoich lat, kiedy będą siedzieć w bujanych fotelach.

*Na pewno wielu ciekawych planów nie zdążyliście zrealizować...*

Żatuję, że nie odbyło się u nas jeszcze parę historii. Marzyłem, żeby zagrała u nas Formacja Nieżywych Schabuff, ale z Jackiem Pałuchą. Albo Mariusz Kopiński, którego uważam za jednego z najlepszych częstochowskich gitarzystów. Z Yaniną żartowałem – kiedy u nas zagra wreszcie Maanam? Mamy dużo archiwizacji, zrobimy może kiedyś taki mix wydarzeń zarejestrowanych. Mam nadzieję, że jeszcze coś uda nam się zrobić, będziemy się starać gdzieś pokazać czy koncertowo, czy książkę może się uda wydać, może zaczniemy robić happeningi... dopóki tu będziemy. Coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy damy radę tutaj żyć. W Polsce się żyje bardzo ciężko, w Częstochowie się żyje jeszcze ciężiej. Ostatnio zająłem się byciem robotnikiem budowlanym, nie wiem, na ile wytrzymam tę satysfakcję finansową, a na ile wykończy mnie to psychicznie. Ale lubię to miasto, nie chce mi się stąd wyjeżdżać.

*Czy są jakieś działania w kierunku poszukiwania dalszej drogi dla istnienia Utopii? To było miejsce, dzięki któremu zespoły zauważyły Częstochowę, nawiązywały ją na swoją mapę imprez.*

Na samym początku byłem bardzo energetycznie nastawiony do tego, żeby znaleźć nowe miejsce, a teraz dochodzę do wniosku, że chyba nie ma to sensu. Przede wszystkim dlatego, że mnóstwo młodych ludzi wyjechało z tego miasta, jadą na studia na zewnątrz albo do pracy. Zaczyna mnie to przerażać. Nie mówię – nie, nie mówię – tak. Nie mamy takiego miejsca, gdzie można by to kontynuować, czynsze są wysokie, na razie tego nie widzę. Myślę, że będzie możliwe organizowanie imprez w powstających klubach. Teatr From Poland Kowalskiego ma swoje miejsce w dawnej siedzibie Paradoksu z większą sceną, tam niedługo zrobiliśmy parę dużych koncertów, niedługo otwarta zostanie Zachęta – Piotr Głowacki zaprasza mnie do współpracy, jest niedawno otwarte miejsce Carpe Diem. Pomimo tego, że nie ma Utopii, myślę, że te zespoły, działania z nimi związane, na pewno nie zginą. Jak nie zrobię tego ja, moi przyjaciele, to zrobią to inni ludzie. Teraz mamy lato, martwy sezon na wydarzenia klubowe – ludzie wołają wyjeżdżać za miasto. Ale myślę, że jesienią znowu trzeba będzie coś robić. Na razie jestem trochę zmęczony i malkontencko nastawiony, ale pewnie niebawem zacznę mnie coś wewnętrznie mobilizować, żeby się znowu gdzieś ujawnić. Cieszę się, że Mateusz i Kacper sobie świetnie radzą, mają coraz lepsze kontakty. Teraz jadą po raz kolejny na Off Festival i na Open'er Festival. Szkoda, że Częstochowa nie ma własnego festiwalu. Będziemy się starali może zrobić coś trochę przypominającego myślowicki Off Festival. Nie możemy marzyć o jakichś wielkich, poważnych festiwalach, ale myślę, że mamy na tyle kontaktów, że możemy spróbować. Kwestia jest, jak na to spojrzysz prezydent i czy znajdziemy sponsorów. Sądzę, że spróbujemy podjąć jakąś rozgrywkę, może za rok, bo w tym roku jest już za późno. Noc Kulturalna pokazuje, że takie przygotowane wydarzenia, dobrze rozwiazane logistycznie, opatrzone plakatem, mocno nagłośnione mają sens. Duże wydarzenie w Częstochowie ma szanse powodzenia – ludzie tutaj są w stanie wydać parę złotych na bilet – jeśli chodzą na żużel, to przypuszczam, że na stadionie za 20-25 zł dałoby się zrobić festiwal, na który także przyjdą.

*Bardzo dziękuję za rozmowę.*

Ja również dziękuję za ten utopijno-wspomnieniowo - halucynogenenny wieczór.



## POMYSŁÓW NAM NIE BRAKUJE

**Z Wojciechem „Brodni” Turbierzem,  
liderem zespołu HABAUKUK,  
rozmawia Weronika Jakubowska (debiut)**

*Co skłoniło Was do interpretacji piosenek Jacka Kaczmarskiego?*

Pod wieloma względami uznaliśmy, że to dobry pomysł. Twórczość Jacka Kaczmarskiego jest bardzo interesująca, inspirowana wieloma dziedzinami życia i sztuki, więc i dla nas również stała się inspirująca. Na pozór dwa odległe od siebie gatunki mogły zaistnieć razem jako jedność. Muzyka powinna łączyć, nie dzielić.

*Teraz bujnie rozwija się kariera Habakuka. Co o tym myślicie i jakie jest Wasze podejście do tego, co dzieje się na polskiej scenie muzycznej?*

Nagranie przez nas płyty z piosenkami Jacka Kaczmarskiego miało zwrócić uwagę, głównie mediów, zarówno na twórczość Kaczmarskiego, jak i również na scenę reggae. Bo nie ma co ukrywać, że i wykonawcy reggae, jak i piosni Jacka nie były częstymi gośćmi stacji radiowych. I choć reggae ostatnimi czasy pojawiało się częściej, oba te nurty były traktowane bardzo po macoszemu.

*Na nowej płycie jest wielu gości i nie są to osoby, które czynnie uczestniczą w polskiej muzyce reggae. Co skłoniło Was do zaproszenia ich i czy planujecie dalszą współpracę?*

W Habakuk od początku panuje rodzinna komitwa, granie z tzw. gośćmi to rzecz bardzo naturalna. Dlatego zaprosiliśmy Mateusza Pospieszalskiego, Ziuta Gralaka, Piotra Wolskiego, Anię Mrożek, Zuzię Iwańską, Mercedesę, gdyż z nimi współpracowaliśmy już wcześniej, i w studiu i na koncertach. Podobnie było z Muńkiem Jarka Bestera, Anię Witczak i Patrycję Kaczmarską poznaliśmy dzięki Pawłowi Potorożynowi, producentowi i pomysłodawcy płyty. W miarę możliwości staramy się koncertować z nimi, choć nie jest łatwo zebrać wszystkich w jednym miejscu, to są bardzo aktywni artyści, mający swoje projekty.

*Historia Habakuk jest bardzo długa i skomplikowana. Czy mógłbyś ją przybliżyć?*

Gramy już 17 lat, więc nietatwo jest ją w kilku słowach przybliżyć. W każdym razie, od ładnych kilku lat gramy w stałym składzie, pracujemy dość intensywnie, sporo koncertując, w międzyczasie pracując nad nowymi utworami. Marzy mi się koncert, a nawet płyta, gdzie moglibyśmy zagrać z ludźmi, którzy wspierali wcześniej zespół, ale aktualnie, z różnych przyczyn, nie są już w podstawowym składzie.

*Czemu akurat muzyka reggae, przecież jest tak wiele innych ciekawych gatunków muzycznych?*

Ale reggae jest najciekawsze! A tak poważnie, to po prostu wibracja i brzmienie tej muzyki stało się nam bliskie. Od lat zresztą nie ukrywamy, że reggae jest dla nas głównie inspiracją, staramy się wychodzić poza ten kanon, czerpać z innych stylów. Folk, hip-hop, jazz, pop, rock, itd. Mam nadzieję, że to słyhać w naszej muzyce i że jest to strawne dla słuchaczy.

*Teraz jest bardzo dobry czas dla zespołu. Macie w związku z tym jakieś konkretniejsze plany na przyszłość?*

Myślę, że czas zawsze jest dobry, jeśli bardzo się czegoś pragnie, robi się to szczerze a przede wszystkim konsekwentnie. Dlatego, niezależnie od tego, jakim echem odbiłyby się nasze ostatnie płyty, to pewnie plany wyglądałyby podobnie. Nadal będziemy koncertować i nagrywać kolejne albumy. Poszukiwać swojego miejsca, przestrzeni. Pomysłom nam nie brakuje, więc zapewne nie będziemy się nudzili.

*Gracie teraz dość dużą trasę koncertową...*

Od kilku lat w zasadzie jesteśmy non-stop w trasie, gdyż jesteśmy zespołem głównie koncertowym. Na szczególności związane z trasą zapraszam na naszą stronę internetową ([www.habakuk.art.pl](http://www.habakuk.art.pl)). Całkiem niedawno pojawiła się na rynku płyta „A ty siej” i dlatego plany koncertowe są bardzo płynne, pojawiają się coraz to nowsze propozycje koncertowe. To bardzo budujące. Zagramy sporo koncertów w Polsce, tzw. juwenaliowych, mamy wiosnę, zbliżamy się do lata, więc będzie czas koncertów plenerowych, festiwalowych, których będzie na pewno sporo. Zagramy na przykład na największym festiwalu w Europie, w Glastonbury.

*Dzięki za rozmowę i pozdrawiam serdecznie.*



## O ZMYŚLACH I SUKCESACH

Rozmowa z Januszem „Yanina” Iwańskim

**M.P. Rawinis:** *Jak działają zmysły muzyka? Jak odbierasz zapachy? Czy przechodząc przez miasto w godzinach szczytu, słyszysz ten hałas w taki sam sposób jak inni?*

**Janusz „Yanina” Iwański:** Od czasu, kiedy przestałem palić papierosy, bardzo dawno temu, rzeczywiście węch mój bardzo poważnie się wyostrzył. Jak kiedyś. Do tego stopnia, że żona czasami mówi: Czy ty musisz wszystko wąchać? Ale może zanim o słyszeniu, powiem ci o smaku. Pewnego dnia, myślę, że tak gdzieś około 15-16 roku życia, idąc ulicą jadłem jabłko. Doszedłem do tzw. światła - światła to było skrzyżowanie Wolności i Kościuszki z Alejami - i uświadomiłem sobie, że nie pamiętam drogi, którą przeszędłem, natomiast pamiętam smak i zapach jabłka. Cały inny świat przestał istnieć, smak i zapach prowadziły mnie tą drogą. W dzieciństwie bardziej zastanawiały mnie sztuki plastyczne. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że dźwięk, który mnie otacza, jest tak silnie i organicznie ze mną związany. Był czymś tak oczywistym, jak chleb powszedni. Człowiek nie zastanawia się nad tym, że oddycha. Człowiek się nie zastanawia nad tym, że patrzy. Miejsce, gdzie się wychowałem, łąki z tyłu ulicy Nadrzecznej, wzdłuż rzeki, wały, to było miejsce, gdzie można było dużo czasu spędzać. Widziałem słońce, drzewa,

rośliny, obserwowałem je, a potem wszystko rysowałem. To było coś, co mnie intrygowało, inspirowało i co zresztą szybko wyłowiono w przedszkolu. Moje obrazy wisiały też na wystawach w szkole podstawowej, byłem punktowany, myślałem oczywiście o liceum plastycznym. Ale tak naprawdę równolegle interesowałem się muzyką. Od dziecka byłem wielkim fanem muzyki, z czego sobie kompletnie nie zdawałem sprawy. Uświadomiłem to sobie w momencie, kiedy nie przyjęto mnie do liceum plastycznego. Ale pamiętam, że zawsze jak szedł pogrzeb i za pogrzebem orkiestra dęta, to biegłem po schodach szybko z drugiego piętra, żeby wyjść na ulicę i słuchać, jak drga powietrze. Było to fascynujące. Rodzice kupili mi radio, miałem 3 lata. Włączałem, kręciłem galką i nagle okazywało się, że są ludzie, którzy mówią językiem dla mnie niezrozumiałym. Słyszałem, że człowiek mówi, i słowa, których nie rozumiem. Ale właściwie bardziej słyszałem w tym melodię. Tak samo było z muzyką: kręciło się galką i nagle się okazywało się, że jest muzyka, która jest inna,

niż orkiestry dęte, które idą za pogrzebem, a które znałem, czy muzyka, która leci w Polskim Radiu. Bywało też tak, że jako chłopiec, przed 10 rokiem życia, wychodziłem z domu, zatrzymywałem się w centrum miasta, stałem tam i słuchałem szemrania ludzi, słuchałem dźwięku miasta. Nie byłem świadomy, że to może mieć jakikolwiek wpływ na późniejszy mój rozwój muzyczny.

*A teraz, kiedy jesteś świadomy sposobu, w jaki funkcjonują zmysły, jak z tego korzystasz w swojej muzyce?*

Zdarza się, że na przykład jadę autobusem i słucham, jak ludzie rozmawiają. Język polski ma pewną melodię. Dopóki jesteś świadomy słowa i dopóki je rozpoznajesz, nie jesteś w stanie wylapać melodii. Ja to złapałem pierwszy raz, jak byłem za granicą: jechałem środkiem komunikacji miejskiej, ludzie rozmawiali, nie wiedziałem, o czym rozmawiają, słyszałem tylko melodię – to wiąże się z melodią, z rytmiką. Postanowiłem to zrobić w autobusie miejskim u nas, i słuchaj – udało mi się nie rozumieć języka polskiego, jak gdyby wyłączył rozumienie. To jest bardzo ciekawe doświadczenie, ponieważ nagle słyszysz własny język, którego nie rozumiesz, nie rozpoznajesz słów, natomiast słyszysz ten dźwięk, tak jak dźwięk kosmosu, dźwięk ziemi, dźwięk języka polskiego. Wymaga to pewnej koncentracji i pewnej umiętności, ale myślę, że każdy mógłby spróbować. Myślę też, że tak jak każdy twórca nasłuchując zwierząt, szczekania psów albo śpiewu ptaków – to jest właściwie nie nowego, to jest rzecz tak prozaiczna i prosta...

*Ten moment, kiedy jest już spokoj na sali, a jeszcze nie ma dźwięku na scenie: jak Ty to słyszysz? Czy wiesz, jak będzie wyglądał ten pierwszy dźwięk?*

Nigdy tego nie wiem. Oczywiście, każdy koncert się przygotowuje, mimo że gra się te same utwory. Jest wyciszenie, to, co się nazywa koncentracją i skupieniem przed koncertem. Namawiam do tego moich młodszych kolegów, bo ze starszymi mamy doświadczenie, bośmy robili różne eksperymenty z koncentracją. Myślę tu całej szkole Tie Breaku, ale i przenoszę to dalej, bo zawsze wiedziałem, że koncentracja i skupienie jest ważne. Nie mogę pójść do ciebie byle jak. Muszę przyjść do ciebie specjalnie. Każde spotkanie z drugim człowiekiem jest wyjątkowe. W przypadku, kiedy dajesz koncert, gdzie ludzie kupują bilet i przychodzą, ono jest w dwójnasób wyjątkowe, ponieważ oni poświęcają swój czas na to, co ty masz do zaproponowania. Mało tego, wydają jeszcze swoje pieniądze. Natomiast koncentracja i skupienie polega na tym, że przy pewnym kierunku wiadomo, że gramy te utwory i idziemy stąd. Dokąd dojdziemy, nie wiemy, ale zakładamy, że idziemy stąd dotąd. Wchodzę na scenę w milczeniu, pierwszy dźwięk powoduje otwarcie. W momencie, kiedy



wchodzę w światło sceny, znika trema i ja przestaję istnieć. Wyobraź sobie: to tak, gdy zasypiasz i znikasz. To coś takiego, że kiedy wchodzę na scenę, przestaję istnieć jako ja. I nie wiem, co się zdarzy.

*Stanęłście na scenie w Atenach. W którym momencie się zorientowałeś, że jesteście w tak dobrej formie? Kiedy wiesz, czy to będzie koncert udany?*

Nigdy nie wiesz, czy dostaniesz do ręki melodię, którą się możesz podzielić. Pierwszy koncert graliśmy w naszej ambasadzie, dla Polonii, dla zaproszonych gości. Ze dwie setki ludzi tam przyszło. Wychodząc na scenę niepotrzebnie zerknałem na publiczność i zobaczyłem prawie same kobiety. Powiem ci, że wystraszyłem się: właściwie same niewiasty dojrzałe. I mówię: Jezu, co ja im zagram? Muzyka, która proponuję, być może jest nie z ich świata, a ja nic innego nie zagram. Pierwszy utwór to była walka z materia. Graliśmy jak zwykle, graliśmy najpiękniej, jak to jest tylko możliwe. W drugim utworze, w połowie, poczułem sianie. To jest to, co jak zapytasz jakiegokolwiek muzyka, to ci odpowie: nagle jest coś takiego, że pojawia się sprzężenie zwrotne, że publiczność weszła w to, co jej proponujesz. I wtedy możesz zrobić wszystko: możesz stanąć na głowie, możesz mrugnąć, możesz każdy dźwięk zagrać, i ludzie się jakby poddają, ponieważ ci zaufali. Przed głównym koncertem festiwalowym w Metropolis oczywiście wcześniej zrobiliśmy próbę, bo zawsze ciągnę muzyków, żeby poczuli przestrzeń, zapach, żeby poczuli miejsce, w którym będą grać, żeby później, jak wyjdą na scenę, się nie wystraszyli. Ja to doświadczenie mam, oni są młodszy ode mnie. I było tak, że gdy weszliśmy, od pierwszego dźwięku była akceptacja. Byłem zdziwiony, bo widziałem ludzi, którzy stoją i są po prostu w amoku – inne słowo nie przychodzi mi do głowy. Nikt mnie tu nie zna, nikomu Yanina nie kojarzy się ani z Sojką, ani z „Wielkim podzieleniem”, ani z Maanamem, ani z czymkolwiek. Ponad 6,5 tysiąca ludzi na tym koncercie i nagle oni wszyscy cię akceptują z muzyką, którą grasz. Stałem na scenie i w pewnym momencie, jakby prowadząc ten koncert, zatrzymałem basistę, zatrzymałem saksofonistę, zatrzymałem siebie, został tylko saksofonista i perkusista. Stałem i byłem na koncercie tych dwóch muzyków, którzy grali, czułem się jak słuchacz i widziałem ludzi oczarowanych. Grał Marek Pospieszalski z Przemkiem Pacanem. Widziałem, że oni we dwojkę dopałał jeszcze, po czym doszła reszta zespołu i ludzie oszaleli. Stałem i nie mogłem uwierzyć, że jest to możliwe, że muzyka, którą proponuję, może pochłonąć taką ilość par uszu. Byłem szczęśliwy, stałem jako słuchacz na scenie i yłem szczęśliwy, słuchając młodych muzyków, którzy grają ze mną. Byłem szczęśliwy, że ich tam zawiozłem. Byłem szczęśliwy i miałem taką refleksję stojąc tam, że przestałem być muzykiem, stałem się słuchaczem. Stałem i słuchałem moich kolegów, którzy grają. Po prostu płałem z radości. Ja ich tu przywiozłem.

*Wstęp w Atenach był udany, gazety pisały o tym w bardzo pochlebny sposób, w internecie jest pełen zachwytów...*

Rzeczywiście, doświadczyłem czegoś bardzo przyjemnego, bo to są miłe chwile, kiedy organizator koncertu wychodzi i podaje ludziom twoją stronę internetową. Nie zabrałem ze sobą płyt, bo nie jestem handlowcem. Zabra-

łem kilka płyt promocyjnych, które zostawiłem i o które się ludzie bili; publiczność pytała gdzie można kupić moją płytę. To jest duża przyjemność. Nie ukrywam, że w swoim życiu jazzowym nie doświadczyłem czegoś takiego.

*Opowiedz o tych chłopakach, z którymi grałeś w Atenach i z którymi ostatnio Cię widać.*

10 lat temu byłem zaproszony do jury festiwalu jazzowego na wsi w okolicach Częstochowy. Pojawił się tam zespół, w którym występowałi Przemek Pacan, Marcin Lamch i Łukasz Kluczniak. Bardzo młodzi muzycy. Wypunktowałem ich, uznałem, że jest to najlepszy zespół, i postarałem się o to, żeby zebrali główną nagrodę. Mieli wytyczony swój kierunek muzyczny, wiedzieli, gdzie iść. Tak się złożyło, że kierunek, w którym zmierzali, był bardzo bliski temu, co i mnie jest bliskie. Podrzuciłem im trochę materiałów muzycznych, potem się z nimi spotykałem od czasu do czasu. Przyszedłem do nich po roku czy po dwóch latach na próbę. Trochę jeszcze szarpali czasem, nie bardzo potrafiłem w nimi grać, ale chwilę potem okazało się, że fajnie już grają. Mieli po 17-19 lat. Zaproponowałem im wyjazd. Byli dość dojrzały jako instrumentalści, mieli wytyczony kierunek, w którym konsekwentnie grają do dzisiaj. Zaryzykowałem, wzięłem ich na koncert w Szczecinie, byli gotowi grać na zawodowej scenie. Po drodze zebrali laury na Jazz Juniors, ważnym festiwalu jazzowym, zajęli trzecie miejsce, to duży sukces. Od tej pory nagrałem jedną płytę, drugą, sporo koncertów zagrałiśmy, graliśmy też za granicą w kilku miejscach. Teraz przygotowuję kolejną płytę „Yanina Free Wave”, nowy skład, ponieważ pojawił się w moim zasięgu Marek Pospieszalski. Marek ma w tej chwili 19 lat, ale obserwuję go od pewnego czasu, idzie w tę samą stronę, czyli jestem i mnie jest po drodze, i nam wszystkim jest po drodze, bo to ten sam kierunek. Ja to nazywam szkołą tiebreakowską, bo te studia tiebreakowe wycyzyły pewien freejazzowy kierunek, który właściwie jest konsekwencją tego, co robił Komeda, i w prostej linii tego, co robił kwintet Stańki. Zaprosiłem Marka, czyli powiększyłem skład. I jeszcze jest jeden perkusista. On nie był ze mną w Atenach, bo zaprosiłem tych ludzi, którzy już nagrali ze mną materiał na płytę. Będą jeszcze miniatury, nagrane z innym perkusistą, ponieważ to jest zespół, który będzie miał tzw. stały skład ruchomy; zmieni perkusistów, zmieni saksofonistów, zmieni basiści. Czyli jak gdyby dwa zapasowe składy. Wszyscy ci muzycy będą na jednej płycie. Mam nadzieję, że pewnego dnia uda mi się zacząć grać koncerty na dwa zestawy perkusji, dwa saksofony, kontrabas, gitara basowa i gitara, czyli taki... Nie wiem, jak to nazwać, po prostu pełny skład.

*Kiedy wyjdzie nowa płyta?*

Płyta jest nagrana w 80 procentach. Właściwie w tej chwili mam już materiał, z którego mógłbym wydać płytę, ale chcę odczekać chwilę, posłuchać tego, może zrobić jeszcze jedną sesję nagraniową. Myślę, że się uporam z całym materiałem do końca wakacji, materiał który pójdzie pod miks, i myślę, że jesienią powinien się ukazać. Na pewno w tym roku.

*Dziękuję za rozmowę.*

# GENIUS LOCI

## Wakacyjna zagadka

Co przedstawiają zdjęcia?

Gdzie się znajduje ten malowniczy zabytkowy obiekt?



*Tzw. Willa Hoffmannów przy ul. Dembińskiego*

*Władysław Ratusiński*

## CZAR MINIATURY

*Wystawa pokonkursowa 4. Międzynarodowego Biennale Miniatury w Częstochowie, prezentowana latem 2006 r. w OPK Gaude Mater, wędruje po Polsce. Wzbudziła wielkie zainteresowanie w Pile, Tarnowie i Kaliszu. Bardzo dobrze wypadła w Warszawie. Będzie pokazana w niemieckim Pforzheim.*

Międzynarodowa Wystawa Miniatury zorganizowana w Częstochowie w 2000 roku, już po pierwszej edycji stała się imprezą cykliczną. Dwa lata później w biennale wzięło udział dwukrotnie więcej uczestników i ten poziom (ponad tysiąc prac) stale się utrzymuje. Zwiększa się natomiast zasięg konkursu, z 22 krajów, przez 39, 45 do tegorocznych 49. Wzrasta także ilość miejsc, w których prace uczestników konkursu są prezentowane. Oznacza to coraz większe zainteresowanie imprezą poza granicami kraju, ale i także w Polsce, gdzie publiczność pragnie zapoznać się z rzadko prezentowaną formą miniatury.

Konkursowe prace muszą zamknąć się w wymiarach 10 x 10 cm. Dla większości autorów, którzy na co dzień nie parają się uprawianiem miniatury, udział w częstochowskim biennale jest sporym wyzwaniem. Zmusza do intensyfikacji środków wyrazu, ograniczenia rozmachu kompozycyjnego, często do odejścia od wypracowanych indywidualnych kanonów (choć wielu znanych lub wielokrotnie biorących udział w częstochowskim biennale autorów, pozostaje wiernych wypracowanemu piśmu). Stresuje wizją ogromnych porównań. We wszystkich konkursowych edycjach, tak jak we współczesnej sztuce w ogóle, dominują dwa nurty: abstrakcyjny i przedstawiający. Dlatego częstochowska wystawa nie jest ani inna, ani szczególnie reprezentatywna. Jednak na pewno jest ciekawa, a dzięki nagromadzeniu w jednym miejscu tak wielu propozycji autorskich, także inspirująca.

Przy całej plejadzie zastosowanych przez artystów technik, ogromnej różnorodności tematycznej i nieco mniejszym zróżnicowaniu kolorystycznym (dominująca biel i czerń oraz pośrednia szarość), prawie niemożliwe jest poszukiwanie jakichkolwiek cech wspólnych. Dlatego logiczną wydaje się próba analizy stosunku autorów do ograniczonej przestrzeni, którą przyszło im wypełnić. Najogólniej można wskazać kilka sposobów potraktowania owych 100 cm<sup>2</sup>: świat przedstawiony pokrywa się idealnie z przestrzenią; wypełnia tę przestrzeń maksymalną ilością spraw, wyobrażeń, znaków; temat zajmuje miejsce centralne, a wszystko wokół stanowi jego mniej znaczące otoczenie; praca jest tylko fragmentem większej całości czy sekwencją, która mogłaby ciągnąć się nieomalże w nieskończoność (barwne

reliefy: W. Dudy, M. Jarosz, J. Winklera); przestrzeń wzywa do wypełnienia czy wręcz zapelnienia siatką znaków, rzadziej barw (V. Moncayo) i to ona decyduje o ostatecznym temacie pracy. W nielicznych przypadkach autorzy wprowadzają dodatkowe samoograniczenie powierzchni, tak by świat przedstawiony sam zakreślił pożądane kontury (unerwiona dwudzielna bryła (M. Waszczyk), twarz Indianina (A. Badoloni), koło (A. Brzegowy) lub kolistość mandali (M. Gołąb), wielobarwny fresk o zawirowanym rytmie czy fragment innego).

Egzemplifikacją pierwszego z wymienionych sposobów jest praca D. Krysty (Grand Prix). Zarysy dawno nieużywanego wrzutu drzewiowego czy skrzynki na listy. Temat doskonale przylega do przestrzeni. Nie tylko szczerlnie ją wypełnia, lecz wręcz wszystko zdaje się opowiadać jedną historię. W podwójnie zamkniętym kwadracie S. Góreckiego ciemność wjeżdża w głębi spojrzenia patrzącego. Obnażone piękno spłotów mózgu, nerwów i krwioobiegu (E. Ludwig) spycha, nie tylko profil kobiecej twarzy na plan dalszy, lecz także czyni z mózgu dominantę, zarówno kompozycyjną, jak i interpretacyjną. E. Radzikowska poddała twardość kamienia działaniu czerwonej wstążki, która nadała mu kształt bułki. Dar serc obojętnych. Intrygują prace będące czy nasładowe zapiski z podróży. Stos brązowych tekturowych walizek (J. McKeown) opatrzone kierunkami, tropami, informacjami o odkryciach. Prywatne historie zamknięte w tekturowych wnętrzach. A. Markiewicz swoje zapiski lokalizuje w Kremnicy. Macewa – druga połowa kamiennych tablic, zwielokrotniona menora, iglasta kula. Momentałość utrwalająca odległe i bardzo odległe przeszłości. Collage H. Matthisen zbudowany jest z cytatów. Motyl zużyty przez życie, dzieci ze starej fotografii, pożółkły wielowarstwowy papier tworzą nową, nigdy nie zaistniałą, choć postarzoną opowieść. W gęstości niektórych prac łatwo się zagubić, jak na ulicy w Hong Kongu (K. Hidaka) czy egzekucji (A. „Graba” Grabowiecki) dokumentów przemiałanych w maszynce na pieniądze (?), skazujących na śmierć przez powieszenie (?) z wizją ostatniego papierosa. Koreański relief K. Hye-Jeonga ukazuje plataninę bezgłowych zwierząt patrzących tułowiem. S. Dackeviciute mnoży smutek zmęczonych twarzy dojrzałych mężczyzn. Siatki i linie biegnące w różnych kierunkach naciągają rysunek na niewidoczne ramy, oddzielając go od gładkiego i nic nieznaczącego tła (M. Rylewicz-Butryn, A. Salamon, J. Wiszniewska-Domańska, A. Węgliński).

*Na biennale nadesłano 1058 prac wykonanych przez 355 autorów z 49 krajów. Na wystawę zakwalifikowano 191 prac, 42 autorów z 27 krajów. Komisja konkursowa przyznała Grand Prix konkursu (Daniel Krysta), trzy kolejne nagrody (Ewa Ludwig, Elżbieta Radzikowska, Jill McKeown) oraz 10 wyróżnień honorowych.*

**Beata Anna Symolon**

## Truchcikiem po galeriach

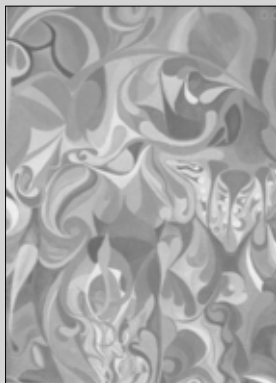
Mimo lata, ruch w galeriach duży. Ożywienie wielkie, a to m.in. za sprawą dyplomów artystycznych studentów Instytutu Plastyki Akademii im. Jana Długosza. W Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” Zakład Malarstwa i Rysunku przedstawił prace z pracowni profesorów Wernera Lubosa, Włodzimierza Kuleja, Leona Macieja oraz adiunktów Mariana Panka i Dariusza Słoty. Bez wątplenia wyróżniały się prace Artura Gierlicha, Sony Hayrapetyan, Karoliny Dziurki, Jarosława Pawłaka, Moniki Pluskoty.

Wystawa malarstwa i rysunku Jolanty Winiszewskiej w galerii Rue de Foch, w ramach prezentacji artystycznych Częstochowskiej Nocy Kulturalnej. Sam wernisaż artystka zaplanowała jednak na kilka dni



wcześniej. Na ekspozycji mogliśmy zobaczyć dwadzieścia prac malarskich i rysunkowych z różnych cykli i z różnych okresów twórczości. Tytuł wystawy „Ślad istnienia” dopełniał i skierowywał uwagę na wartości zawarte w tej nietuzinkowej prezentacji, która jak się okazuje, jest wstępem do planowanej dużej jubileuszowej retrospektywy, związanej z trzydziestoleciami pracy twórczej artystki.

W galerii Rue de Foch na przełomie czerwca i lipca pokazała swoje debiutanckie prace Dominika Grzybowski, studentka Wydziału Architektury Politechniki w Krakowie. Maluje od niedawna poszukując swoje-



go malarskiego świata w domenie surrealistycznego widzenia. Kilka obrazów a zwłaszcza „Niebieski”, „Autoportret”, „Dziura w bucie” czy „Słoń w słońcu skąpany” zaskakuje swoim wysmakowanym i zarazem odważnym kolorystem przypominającym wczesne dokonania Hansa Arpa i płynną ekspresyjną formą Stanisława Ignacego Witkiewicza. Jak na debiut – interesujące.

W Miejskiej Galerii Sztuki bronili swoich prac dyplomowych studenci pracowni grafiki warsztatowej profesorów Ewy Zawadzkiej, Krystyny Szwajkowskiej, Katarzyny Winczek, Zdzisława Wiatra. Zaciekały swoją kreatywną jakością odbitki graficzne Magdaleny Piwońskiej, Agaty Żmudzińskiej oraz Łukasza Szewczyka.

28 czerwca zaprezentował w Miejskiej Galerii Sztuki – ponownie po 15 latach – przegląd swojej twórczości prof. Włodzimierz Kulej. W MGS zawisły prace stare i nowe będące podsumowaniem 25 lat pracy twórczej. Wystawa pt. „Przestrzeń indywidualna” uderza dobrą, wysmakowaną aranżacją. List gratulacyjny wystosował na ręce jubilata prezydent Częstochowy. Pechowe było natomiast wystąpienie wprowadzające dyrektora MGS, Czesława Tarczyńskiego. Popelił kilka błędów merytorycznych dotyczących



autora wystawy i jego osiągnięć. Nagród i osiągnięć prof. Kulej ma немало. Zwłaszcza Grand Prix na festiwalu malarstwa Polskiego w Szczecinie w 1991, które wyraźnie wskazuje, że jego malarstwo wzbudziło uznanie niezależnej zewnętrznej krytyki.

Prace Kuleja porażają złożoną strukturą obrazu oraz wewnętrzną spójnością. Zasadniczą odmiennością tego malarstwa jest bardzo świadome dysponowanie kolorem jako nośnikiem nie tylko barwnego widzenia, ale i zasadniczych malarskich treści. Materializowanie się światła z ciemności, czasami jako szczelina, oś, konstrukcja w sumie architektonika tego światła, ujęta jest zwykle w zapis świetlistego znaku.

Agnieszka Sandomierz pokazała w MGS „malarstwo z rzutnika”. Przedstawienia trochę jak z reklam telewizyjnych. Komponuje obrazy bardzo dowolnie tworząc pewien kolaż rzeczy i postaci wziętych z naszej rzeczywistości. Tematyka obrazów trochę mętna z lekkim kamuflażem – odnosi się do naszych wewnętrznych potrzeb z obszaru świata konsumpcji. To, co maluje Agnieszka Sandomierz, niby nas osacza i jest groźne i tak to wygląda na jej obrazach – w rzeczywistości jest o wiele gorzej, i tak naprawdę jest się czego bać.



Po galeriach biegł Marian Panek

## Herbert w podróży służbowej

Otwarta na Placu Biegańskiego plenerowa wystawa „Apostoł w podróży służbowej” była poświęcona reminiscencjom z podróży Zbigniewa Herberta (w krainę sztuki i nie tylko). Wystawa zawierała teksty poety, przyporządkowane obrazom znakomitych mistrzów pędzla oraz jego rysunki, które powstały jako ich swoiste „kopie”. Jest to filozoficzna podróż w głąb siebie, dla której inspiracją stały się owe dzieła malarskie.

Trudno ocenić, jak dalece trudne i wymagające skupienia teksty Zbigniewa Herberta zapisały się w pamięci przechodniów biegnących do autobusu, ale pewnie warto o to zabiegać.

Naczelnik Wydziału Kultury UM, Ireneusz Kozera, chciał święto Herberta w Częstochowie dodatkowo rozszerzyć i uświetnić go sprowadzeniem spektaklu „Powrót Pana Cogito” w wykonaniu Zbigniewa Zapasiewicza. Poniedziałek to wprawdzie dzień wolny w teatrze, ale odkąd sztuka musi mierzyć się z ekonomią, znane i poważane spektakle odwijają prowincję właśnie w ten dzień.

Pomyśl dobry, szczególnie w okresie przedwakacyjnym, ale wnet okazało się, że częstochowianie - jak swego czasu ocenili to niedziałowany Marek Perepeczko - na wysokiej sztuce się nie znają. Świecąca pustkami sala na pewno nie była zachętą dla aktora największych scen stołecznych i całego kraju. Na przełomie lat 70. i 80. Zapasiewicz święcił swe największe sukcesy, grając we wszystkich premierach Teatru Dramatycznego w Warszawie, które dzięki nieżyjącemu już Markowi Obertynowi, aktorowi tego samego teatru, mogłam oglądać. Opanowany perfekcyjnie warsztat, maestria i rewelacyjne wyczucie budowanych ról, diametralnie się od siebie różniących („Ksiądz Marek” J. Słowackiego, „Pieśń” S. Mrożka, „Przygody Kubusia Fatalisty” czy „Operetka” W. Gombrowicza), sprawiło, że można było śmiało stawiać Zbigniewa Zapasiewicza na pierwszym miejscu w aktorskim pantheonie. Tak zapamiętany, w Częstochowie mnie rozczarował. Doskonała dykcja i znakomite warsztatowe przygotowanie nie zapewniły wyborowej interpretacji na polu filozoficznych tekstów Herberta. Zmęczony i zbyt często, papierosowo kaszlący aktor, nie stał się oczekiwanym mistrzem, rzucającym na kolana. Poetyckie, o wysublimowanych tekstach pieśni w interpretacji Olgi Sawickiej, będące uzupełnieniem i udekorowaniem deklamowanych wersów Herberta, wprowadziły nieco życia w ten trudny i duszny spektakl, ale też go nie poprawiły. Częstochowska wątpa publiczność obecna na sali nie zgotowała aktorom owacji, nagrodziła ich jedynie dość długimi, ale wymuszonymi zbyt wolnym poruszaniem się po scenie Zapasiewicza, świadomie przeciągającym swą na niej obecność.

Nie jestem pewna, czy Zbigniew Herbert i Pan Cogito byłiby zadowoleni z tak odbytej podróży służbowej...

Joanna Grochowska

## Jana „Maćka” Kuklińskiego wspomina Janusz Mielczarek

Dla znajomych, kolegów i przyjaciół był zawsze Maćkiem. Nie stronił od zabawy i do pokornych nie należał. Przy końcu lat 50. spotykaliśmy się często w pierwszym „Filutku”, mieszczącym się na piętrze akademika przy ul. Kilińskiego. Żeby tam dojść ze śródmieścia, trzeba było pokonać m.in. ścieżkę między łanami zbóż, rozciągających się od dzisiejszej Alei Jana Pawła II do wzniesionego już wówczas pawilonu Wydziału Budowy Maszyn Politechniki Częstochowskiej.

Kiedy wielu z usiłujących wówczas fotografować zaglądało do tego trudno dostępnego i zaczerpniętego światła przez dziurkę od klucza, Maciek był już profesjonalistą całą gębą. Przypomnijmy: enerdownska małoobrazkowa „Praktika” kosztowała wtedy 3-4 pensje urzędnicze, a średnioformatowy „Praktisix” dwa razy tyle. Maciek pracował na etacie fotografa w „Miastoprojektie”, dysponował sprzętem i laboratorium. Odwiedzałem go tam nie tylko po to, aby nacieszyć oko urządzeniami niedostępnymi dla mojej łazienkowo-rodzinnej ciemni, ale również po naukę. Dla Niego ważne było zachowanie czystości przy pracy w ciemni i właściwych temperatur przy wywoływaniu filmów. W dalszej kolejności wszelkie „czary-mary” czynione przy powiększaniu, czyli przysyłanie i doświetlanie różnych partii zdjęć, aby powstała dobra technicznie fotografia. Tamte Jego uwagi towarzyszą mi nieprzerwanie do dzisiaj, choć to – bagatela – blisko pół wieku!

Kiedy nieco później wysyłałem zdjęcia na imprezy fotograficzne, często najpierw zasięgałem opinii Maćka. Przeważnie okazywały się trafne.

Nie było więc dziełem przypadku, że gdy po mojej blisko osiemnastoletniej przerwie w fotografowaniu, w sierpniu 1993 roku z pożyczonymi pieniędzmi wybierałem się na zakupy sprzętowe na giełdę fotograficzną w warszawskiej „Stodole”, towarzyszył mi Maciek. Kilka dni później sprezentował mi którąś ze swoich toreb fotograficznych, a za jakiś czas wydobyty z piwnicy powiększalnik. W tych gestach musiał być spory ładunek dobrej energii, skoro w kilka miesięcy później, w kwietniu 1994 roku w BWA w Częstochowie, w Galerii „Kameleon” udało mi się pokazać wystawę „Galernicy”. Cieszyliśmy się wspólnie z Maćkiem.

Maciek był osobą potrafiącą zachować dystans do tego, co robi i z pokorą podchodził do niespodzianek ukrytych w fotograficznym obrazie. Mając dużą wiedzę praktyczną, doświadczenie i dziesiątki tysięcy zrobionych zdjęć, nigdy nie rozmawiał o fotogra-

fii z pozycji mistrza świata, jakich pełno było i jest wokół, zwłaszcza dzisiaj w erze cyfrowek. Kilka lat temu, na skutek złośliwości rzeczy martwych nie zrealizował za pierwszym podejściem redakcyjnego tematu. Sporo trudu i zabiegów poświęcił, aby to naprawić. Opowiadając mi o tamtej wpadce, powiedział: „Mogę spieprzyć różne rzeczy, byleby to nie były fotografie”.

Praktycznie mógł już od jakiegoś czasu nie przeżywać stresów redakcyjnej krzątaniny, zdjęć robionych na przedwczoraj albo na gwizdek jakiejś bardzo ważnej osoby. Mógł to porzucić, ale nie mógł się rozstać z tak ważnym dla Niego „światem obrazków”, które mówią więcej niż potoki wypłukanych z treści słów.

P.S. Do katalogu mojej wystawy „Fotografie” (1998) wpisałem Mu dedykację: „Maćkowi Kuklińskiemu, z podziękowaniem za niedgdyjszą edukację fotograficzną i z najlepszymi życzeniami – Janusz Mielczarek.”.





Aleksander Jaśkiewicz

## KOŚCIÓŁ ŚW. JAKUBA

Pisząc o kościele pw. św. Jakuba warto chyba przypomnieć, że jest to trzecia świątynia na tym miejscu. Trzeba sobie również uzmysłowić, że dwie pierwsze powstały na terenie, który nie był wówczas jeszcze zabudowany i rozciągał się jako wolna przestrzeń między klasztorem jasnogórskim i osadą zw. Częstochówką (prawa miejskie od 1717 r.) z jednej strony, a miastem Starą Częstochową, położoną nad Wartą, z drugiej.

Pierwszy kościół drewniany pw. św. Jakuba wraz z przytułkiem dla ubogich i chorych pielgrzymów wznosił w 1586 r. Jakub Zalejski, a drugi, murowany, wraz z przytułkiem-szpitałem, prowincjał paulinów o. Andrzej Gołdonowski w 1642 r. Wygląd drugiego z nich pokazuje sztych Jana Bensheimera, przedstawiający oblężenie Jasnej Góry przez Szwedów w 1655 r. Kościół ten utrwalił również na swym rysunku zasłużony dla Częstochowy artysta malarz Adrian Mikołaj Głębocki w latach sześćdziesiątych XIX w. Dość trudno jednak stwierdzić, czy był to kościół zbudowany na planie centralnym czy podłużnym. Rysunek Głębockiego mógłby raczej przemawiać za drugim rozwią-

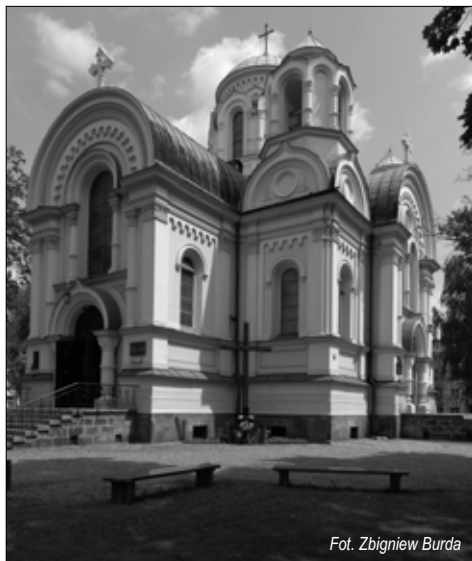
zaniem. Na sztychu Bensheimera zwraca natomiast uwagę część centralna świątyni, mocno wyciągnięta w górę i nakryta barokową kopułą z latarnią.

W późniejszych czasach los nie był łaskawy dla tego kościoła. W 1771 r. został on spustoszony przez wojska rosyjskie, a od 1862 r., zwłaszcza zaś po kasacie Zgromadzenia Sióstr Mariawitek (1864), które się nim opiekowały, całkowicie opuszczony. W cztery lata później (1866) tak o nim pisał wspomniany już Adrian M. Głębocki:

*Kościółek św. Jakuba stoi na uboczu  
Wieżyczka się kąpie w błękitu przeźroczy  
W niej sygnaturka skrzywiona, sercem nie poruszy  
Z dachu żdźbło za żdźbłem się kruszy  
Wróble tylko świergocą, bo od dwóch lat prawie  
Zamknięty – i odtąd cicho w świętej nawie  
Pamiętam go otwartym, a nawet w jesieli  
Święty Kosma z Damianem bywali tu czczeni  
Dawno za Szwedów był otoczony murem  
Rajtary bluźnierstwa wywodzili chórem  
Stali kule ku górze – Kościół został cały  
Teraz jak starzec, co z obliczem łzawym  
Wygląda nieruchomy – rychło czasu prawem  
Skona, a na jego mogile, chociaż jeszcze stoi  
Dawno przeznaczono odhynąć tu targi  
Drzewa go słońią, a on śmierci się nie boi  
Wzbudza litość przechodniów, nie podnosząc skargi*

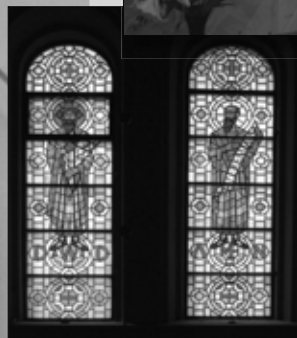
Kościół rzeczywiście wkrótce doznał się rozbiórki. W 1869 r. wyburzyli go sami Rosjanie przeznaczając to miejsce, jako ich zdaniem najodpowiedniejsze (naprzeciw siedziba władz), pod budowę cerkwi św. Cyryla i Metodego. Jej projekt zatwierdzony do realizacji podpisał w 1869 r. Aleksander Lie, architekt powiatu częstochowskiego. Niestety, autor projektu nie jest znany. Zwraca się tylko uwagę, że za wzór posłużyła cerkiew św. Marii Magdaleny w Warszawie, na Pradze, zbudowana w latach 1867-1869 przez Nikołaja A. Syczewa.

Cerkiew częstochowską wzniesiono w latach 1870-1872 w stylu rusko-bizantyjskim. Znalazło to wyraz zarówno w rozplanowaniu świątyni, jak i w sposobie ukształtowania bryły oraz rodzaju użytych elementów architektonicznych i zdobniczych. Za podstawę rozwiązania przyjęto plan centralny równoramiennego krzyża greckiego z czterema kaplicami w narożach, prezbiterium od strony wschodniej i trzema wejściami. W bryle elementami, które jednoznacznie określiły styl świątyni, były kopuły, pierwotnie nakryte hełmami cebulastymi. I wreszcie detal architektoniczny, na który złożyły się trzy monumentalne portale, bliźniacze otwory okienne, fryzy arkadkowe, łuki

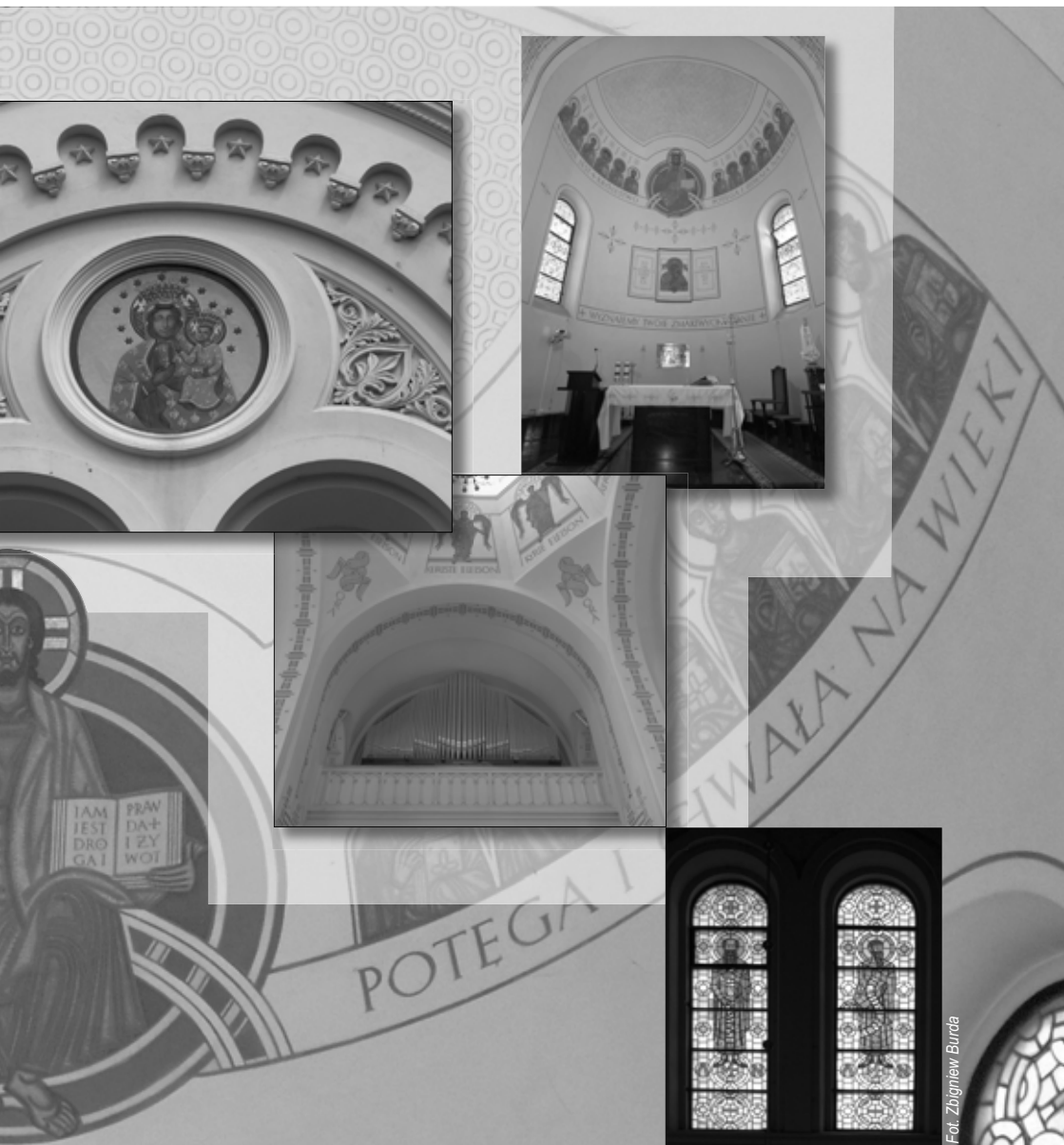


Fot. Zbigniew Burda

# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Fot. Zbigniew Burda

# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

i szczyty w kształcie kokoszników (m.in. nad ścianami narożnych kaplic), półkolnony z kapielami kostkowymi. Nie zabrakło też dekoracji o motywach antykizujących w typie bizantyjskiej plecionki, występującej na kapielach i fryzach.

We wnętrzu najokazalszą część, nawę, nakryto ośmioboczną kopułą na pendentywach, wyznaczającą część centralną świątyni. Spoczęła ona na czterech potężnych arkadach filarowych, z których wschodnia stanowi przejście do prezbiterium. Kopułki miały również pierwotnie narożne kaplice.

Dopełnieniem wnętrza świątyni prawosławnej było jej bogate wyposażenie składające się z ikonostasu sprowadzonego z Petersburga, malowideł ściennych, licznych ikon, lamp, kryształowych świeczników, naczyń liturgicznych i ksiąg. Do dziś w kościele zachowały się tylko pojedyncze obiekty, m.in. neoromańska chrzcielnica i kielich z ok. 1872 r.

Bieg wydarzeń politycznych sprawił, że cerkiew śś. Cyryla i Metodego w czasie pierwszej wojny światowej, po wyjściu Rosjan z Częstochowy, najpierw opustoszała, a później Niemcy odprawiali w niej nabożeństwa dla wojska. Wreszcie w 1918 r. przejęła ją parafia rzymskokatolicka, jako kościół filialny św. Zygmunta, nadając mu wezwanie św. Jakuba., jakie miały dwa wcześniejsze kościoły stojące na tym miejscu. Pierwszą mszę świętą wówczas odprawioną upamiętnia napis na stopie restaurowanego w 1918 r. kielicha, sprawionego zapewne około 1872 r.

Od 1918 r. zaczęto też stopniowo adaptować świątynię do potrzeb kultu katolickiego. Z wydanych w 1937 r. w drukarni Wilkoszewskiego „Dziejów kościoła św. Jakuba w Częstochowie” wynika, że sprawiono najpierw potrzebne urządzenie wnętrza: ołtarz, ambonę, aparaty liturgiczne i niezbędne sprzęty. W 1930 r. przeprowadzono gruntowny remont całego wnętrza oraz wybudowano żelbetonowy chór muzyczny. Równocześnie zaczęto myśleć o zmianie zewnętrznego wyglądu świątyni. Chodziło, aby usunąć „...rażące oznaki panowania moskiewskiego i przekształcić kościół św. Jakuba na symbol zmarłych wstałej katolickiej Polski”.

Pierwszą ofiarę na ten cel złożył sam premier Rządu Polskiego gen. Sławoj Składkowski w czasie pobytu w Częstochowie. Wobec jednak innych pilnych potrzeb przebudowę odkładano na późniejszy czas. Wreszcie, kiedy w 1937 r. utworzono przy kościele samodzielnie parafię, powołano specjalny komitet przebudowy kościoła. Opracowanie projektu powierzono krakowskiemu architektowi Zygmuntowi Gawlikowi. Pierwszą jednak przygotowaną przez niego wersję (z zachowaniem cerkwi jako prezbiterium nowego kościoła) komitet zakwestionował z powodu nadmiernej wysokości wież (45 m) w elewacji frontowej. Realizację zaś drugiego, zmienionego projektu Gawlika (za-

łożenie fundamentów) przerwał wybuch drugiej wojny światowej. Po wojnie w 1948 r. postanowiono zmienić przynajmniej hełm głównej kopuły, przekształcając dotychczasowy cebulasty w półkolisty, a boczne nad kaplicami zastąpiono stożkowatymi daszkami.

Dziewięć lat później (1957) ogłoszono ogólnopolski konkurs na kolejny projekt budowy nowej świątyni. Jego realizacja spotkała się jednak z odmową ówczesnych władz. W latach 1969-1974 przystąpiono więc do następnego etapu przekształcania świątyni istniejącej. Tym razem skoncentrowano się na jej wnętrzu. Usunięto dawne wyposażenie, a całości nadano charakter świątyni starochrześcijańskiej. Autorem projektu był miejscowy architekt Stanisław Pospieszalski, zaś prace artystyczne wykonały Maria Antonina Kozłowska i Zofia Szczerba. Ściany ozdobiono dekoracją sgraffitową o motywach ornamentalnych i figuralnych. W absydzie przedstawiono Chrystusa na majestacie i dwunastu apostołów (półpostaci), natomiast niżej obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Czaszę kopuły i pendentywy ozdobiono chórami aniołów (na pendentywach – serafiny) z odpowiednimi tekstami: *Sanctus, Sanctus, Sanctus...* Na ścianach bocznych i na filarach w technice sgraffita wykonano 14 Stacji Drogi Krzyżowej.

W tematykę i charakter dekoracji wnętrza, pełnego umiaru i powagi, harmonijnie wpisują się witraże z całopostaciowymi przedstawieniami proroków (Izajasz, Daniel, Dawid, Jeremiasz), sygnowane przez Marię Antoninę Kozłowską.

Jakkolwiek budowała ta po przeprowadzonych pracach adaptacyjnych nie do końca przestała się nam kojarzyć z trudnym okresem naszych dziejów, to równocześnie może ona świadczyć o trwałości tradycji kultury katolickiej, zapoczątkowanej na tym miejscu już w XVI w.

**Aleksander Jaśkiewicz**  
**Muzeum Częstochowskie**

## Literatura:

- *Dzieje kościoła św. Jakuba w Częstochowie*, Częstochowa 1937
- *Katalog zabytków sztuki w Polsce*, t. VI, cz. 1 *Miasto Częstochowa*, cz. *Stare i Nowe Miasto, Częstochówka i przedmieścia*, oprac. Zofia Rozanow i Ewa Smulikowska, Warszawa 1995
- J. Związek, ks., *Cerkiew prawosławna pod wezwaniem śś. Cyryla i Metodego w Częstochowie*, „Ziemia Częstochowska”, t. 30, Częstochowa 2003, s. 93-110.

# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

\* \* \*

W sercu miasta, naprzeciw Ratusza, przez pnie i korony potężnych lip, kasztanowców, brzoź, robinii i klonów przeczera kościół św. Jakuba. W dzień ściany odbijają światło słońca, nocą świecą światłem reflektorów. Jasna bryła kościoła wraz ze starymi drzewami tworzy niezwykle piękną całość. Bizantyjską architekturą uobecnia, choćby w skromny sposób, bogactwo duchowości, kultury, sztuki chrześcijaństwa wschodniego. I przywołuje historię. Bolesna, pełną konfliktów.

W latach 1870-1872, na miejscu zniszczonego kościółka św. Jakuba, zbudowano cerkiew pod wezwaniem św. Cyryla i Metodego. Świętych niepodzielonego Kościoła, Apostołów Słowian, przez Jana Pała II ogłoszonych patronami Europy.

Ale w owych latach nie był to bynajmniej gest ekumeniczny – raczej przejaw carskiego samodzierżawia i władzy zaborczej. Wokół cerkwi, jak opowiadał mój dziadek Adam, na cmentarzu pochowano carskich oficerów, „usmiritielej polskiego miatieża”.

Z tego samego czasu pochodzi kamieniczka na początku III Alei Najświętszej Maryi Panny - dawna siedziba duchowieństwa prawosławnego, zwana popularnie „Popówką”; dziś, po remoncie – Muzeum Pięłgrzymowania, wcześniej – Galeria Malarstwa i Grafiki Muzeum Częstochowskiego.

Bóg pisze prosto na krzywych liniach ludzkiej historii. Przecież jedno z najpiękniejszych założeń urbanistycznych, nie tylko w skali polskiej – Aleję Najświętszej Maryi Panny, zawdzięczamy carskim urzędnikom i carskiemu projektantowi. Podobnie i ta świątynia na trwałe wrosła w krajobraz Częstochowy. Zmieniły się tylko kopuły. Znikły cebule, kojarzone z rosyjską architekturą cerkiewną.

Musiałby jednak upłynąć lata, by kościół św. Jakuba stał się świadectwem chrześcijańskiej jedności – wraz ze wznoszoną niedaleko cerkwią Ikony Częstochowskiej Matki Bożej. Przykładem tego była zbiórka przeprowadzona w kościele św. Jakuba na budowę cerkwi, za co proboszcz parafii prawosławnej, ks. kan. Mirosław Drabiuk, dziękował na falach Radia Jasna Góra.

Święty Jakub to parafia mojego dzieciństwa. Był moim kościołem parafialnym aż do powstania parafii Bożego Ciała. W czasach, gdy byliśmy „całą rodziną jeszcze, to znaczy sprzed pogrzebów” – jak to określał ks. Twardowski. O ile więc z kościołem i parafią św. Krzyża łączą mnie ciepłe wspomnienia lat szkolnych – św. Jakub do moich szczególnie ulubionych nie należał i kojarzył się smutno. Tu bowiem, w październikowy dzień, był ten pierwszy pogrzeb: babci Zofii z Szelińskich Ratusińskiej. A działało się to w czasach, gdy jeszcze kondukt pogrzebowe chodziły pieszo Wałami Dwernickiego na cmentarz Kule, zaś ozdobny karawan ciągnęły konie.

Odtąd nie lubiłem chodzić do św. Jakuba. Innym powodem, dla którego rzadko uczestniczyliśmy tu we

mszy św., były być może przeciągi, powstające przez drzwi otwarte na trzy strony świata.

Mimo tych luźniejszych związków z parafią, pamiętam postaci proboszczów od św. Jakuba. Pierwszy z nich to ks. Wojciech Mondry. Nie wiedziałem wówczas o jego wcześniejszym zaangażowaniu w walkę o polskość i o redagowaniu „Niedzieli”. Dla mnie był to staruszek w kanonicznych fioletach, który przyszedł do nas po kolędzie akurat gdy uderzyłem się mocno i mama przykładała mi zimny okład.

A parafianka św. Jakuba, p. Irena Soluch tak go wspomina: „kiedy państwo Janczakowie otworzyli zautomatyzowaną piekarnię, Lucyna, Tadek Janczak i ja przyszliliśmy po księdza i ksiądz poszedł piechotą na Czarnieckiego poświęcić piekarnię.”

Po ks. Mondrym proboszczem był ks. Tadeusz Ojrzyński. Ksiądz – inżynier, jak mówił o nim mój dziadek Adam. Charakterystyczna szczupła postać w czarnej sutannie ujwiała się przy kościele. Nie był mówcą. Kazania mówił głosem cichym, monotonnym, pokaszując, miał kłopoty z płucami. A przecież swoją bezpośredniością i troską zyskał wielki szacunek. Opowiada pani Irena.: „Ks. Tadeusz Ojrzyński był znany w Częstochowie jako bardzo ludzki ksiądz. Przed przyjściem do św. Jakuba zbudował kościół na Kamieniu. Gdy parafianie kupili mu samochód – sprzedał go na potrzeby kościoła. Gdy mu kupiono materiał na nową sutannę – też go sprzedał. A kiedy widział, że nowożeńcy są biedni – obdarowywał ich.

Następny proboszcz to ks. Henryk Bąbiński, wcześniej ojciec duchowny Seminarium, bardzo dobrze wspominany przez wychowanków. W relacji pani Irenej – był prawdziwym ojcem parafii. Z całego miasta ludzie przychodzili do niego do spowiedzi. Serdeczny, wyrozumiały, umiał rozmawiać, lubił opowiadać o swoich podróżach, był świetnym gawędziarzem. Ciekawie prowadził spotkania grup parafialnych, Żywego Różańca. Ks. Bąbiński wraz z ks. Stanisławem doprowadził do uregulowania własności kościoła i do jego konsekracji, której dokonał abp Józef Nowak.

Po przejściu na emeryturę pozostał w parafii. Mieszkał na plebanii, pracował duszpastersko, pisał książki, materialnie pomagał potrzebującym, rozdając swe dochody. Zнали go zbierający bezdomni, których nie miał bez datku. Gdy zmarł, żegnał go wraz z biskupami częstochowskimi arcybiskup metropolita lubelski Józef Życiński, jego wychowanek, wspominając czasy seminaryjne, gdy ks. Bąbiński podarował mu buty. Ks. Henryk Bąbiński zrobił wiele dobrego jeszcze w jednej dziedzinie: opanował świetnie język migowy i przez wiele lat służył głuchoniemym. Poznałem się z nim u p. Irenej Soluch, córki Adama Pełki, bliskiego kolegi mojego dziadka Adama.

Nie było dane ks. Mondremu ani ks. Ojrzyńskiemu znieść nowy kościół św. Jakuba. Pomysł takiej

# ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

budowy sięga czasów przedwojennych. Realizacji projektu Zygmunta Gawlika przeszkodził wybuch wojny. Do sprawy wrócono po latach. Rozpisano ogólnopolski konkurs, wybrano projekt do realizacji. Ale i teraz do budowy nie doszło. Z opowiadań rodzinnych pamiętam taką wersję, że władze komunistyczne zażądały, aby najpierw rozebrać stary kościół, na co inwestor nie chciał się zgodzić, słusznie obawiając się, że może to spowodować, iż nie będzie żadnego. W każdym razie władze pozwoliły na budowę cofnęły. Może to zresztą błogosławiona wina? Nie mielibyśmy zabytkowego kościoła malowniczo przeświecającego przez korony drzew. Nikt nie mógł też wtedy przewidzieć, że wcale nie będzie tu potrzebna duża świątynia, bo powstanie wiele nowych kościołów i parafii, a święty Jakub nie będzie musiał służyć całej dzielnicy bloków na Tysiąclecie.

Wobec fiaska budowy nowego kościoła – postanowiono przetrzymać wewnątrz starego, aby zyskać trochę miejsca – a także nadać mu nowy, trwały wystrój. Píše o tym obszerniej dr Aleksander Jaśkiewicz. Zwrócić tylko uwagę na szczególnie piękne anioły otaczające kopułę – oraz na szlachetne w wyrazie i niespotykane pod względem programu ikonograficznego witraże. Przedstawiają one bowiem biblijnych proroków: Izajasza, Daniela, Jeremiasza oraz króla Dawida z księgą Psalmów.

Opowiada p. Irena Soluch: „Moje pierwsze zekłknięcie ze św. Jakubem było takie: wujek Ksawerek Pełka, brat tatusia, mieszkał w Księciu Domu. Lala była chrzczona u św. Jakuba. Jechaliśmy bryczką wojskową z Domu Księcia.”

Kościół św. Jakuba pełnił funkcje kościoła garnizonowego. Tu też żegnano ochotników udających się na wojnę, gdy bolszewicy zagrozili Warszawie w 1920 r.

Obecny proboszcz, ks. Józef Franelak, bardzo dużo już zrobił dla utrzymania kościoła we właściwym, wprost wzorowym stanie. Troška o Dom Boży, wycucie, szacunek dla formy architektonicznej i artystycznego wystroju sprawiają, iż świątynia jest godną wizytówką miasta na głównym szlaku pielgrzymów na Jasną Górę. A przy tym proboszcz potrafi tworzyć dobrą atmosferę liturgicznych zgromadzeń, co można stwierdzić na przykład uczestnicząc we mszach z udziałem dzieci. Parafia ma już – jako jedna z nielicznych w Częstochowie – świeckiego nadzwyczajnego szafarza komunii św.

Nie sposób pominąć działających na terenie parafii zgromadzeń zakonnych. Siostry zmartwychwstanki prowadzą gimnazjum i szkołę podstawową, a siostry nazaretanki przedszkole (dawniej miały gimnazjum i liceum handlowe). Do zmartwychwstanków i nazaretanek chodziła też (w mundurku) moja mama. A pani Irena opowiada, jak było u zmartwychwstanków przed wojną. Siostra Dorota hodowała hiacynthy, tyle ile uczennice (to były szkoły żeńskie), na imieniny prowincjałki. W ogrodzie ule miał ks. Sobański...

Działa w parafii zespół synodalny, Akcja Katolicka i różne grupy. Na podkreślenie zasługuje kaplica adora-

cji Najświętszego Sakramentu. Panie pełnią modlitewne dyżury, co dzień modlitwą do Ducha Świętego otaczają swych księży. Jest też odmawiana koronka do Miłosierdzia Bożego. Przechodnie mogą wstępować na chwilę, w ciszę i chłód kontrastujący z upałem ulicy.

Trzeba jeszcze wspomnieć zmarłego niedawno ks. Wojciecha Pazere, pochodzącego z tej parafii, profesora Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, autora m. in. zapadających w pamięć cyklów audycji o sanktuariach maryjnych w Radiu Fiat. Prowadził też archidiecezjalne nocne czuwania na Jasnej Górze.

Zyciu intelektualnemu i artystycznemu powinien sprzyjać fakt, że na terenie parafii mieści się Teatr im. Adama Mickiewicza, Instytut Plastyki Akademii Jana Długosza, Zespół Szkół Muzycznych, Muzeum Częstochowskie, Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”. Kościół św. Jakuba służy co roku koncertom Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. W tym kościele również, za sprawą ks. Grzegorza Ułamka, odbywały się kilkakrotnie rekoлекcyjne spotkania artystów. Ciekawe inicjatywy kontynuuje obecny duszpasterz środowisk twórczych, ks. Piotr Zaborski, organizując rekoлекcje w Teatrze, składające się ze spektaklu oraz komentarza i rozmowy z biskupem Antonim Długoszem.

Skoro mowa o dziś istniejących instytucjach i placówkach kultury, warto przypomnieć, że w pierwszych latach powojennych, w kamienicy przy Alei Najświętszej Maryi Panny 35, działał Salon Sztuki Władysława Ratusińskiego, swojego ojca, który wraz ze swoim ojcem, Adamem, organizował wystawy wybitnych artystów polskich.

Parafia św. Jakuba używała kaplicy w domu parafialnym powstającej parafii św. Wojciecha, a obecnie, od lat, spotyka się tu i ma siedzibę częstochowski Klub Inteligencji Katolickiej.

W tym roku parafia św. Jakuba obchodzi siedemdziesięciolecie. Oby ten kościół trwał nadal we wspólniejszej oprawie starych drzew, o których stan powinno się dbać z całą pieczołowitością. Nie wolno pod żadnym pozorem niszczyć oazy zieleni w mieście, fabryki tlenu, oczyszczalni powietrza. Te wszystkie tak ważne funkcje najlepiej spełniają stare, potężne drzewa. Oby nikomu nie przyszło do głowy „odsłaniać” świętego Jakuba! Takie оголоcenie byłoby wielką szkodą dla miasta – i dla samego kościoła, świadczyłoby też jak najgorzej o osobach, które taką decyzję by podjęły. Niech powracający od czasu do czasu (ostatnio przy okazji konkursu na kształt Alej) ten niefortunny pomysł odejdzie w niepamięć, a kościół św. Jakuba nadal urzeka tajemnicą wśród bujnej zieleni lata, bogactwem w złocie, czerwieni i brązach jesiennych liści, elegancją w koronkach oszronionych gałęzi, skrzących się w zimowym słońcu. Tak jak było w XIX wieku – i jest dotąd.

*Władysław Ratusiński*

*II Nagroda  
w konkursie „Z Częstochową w tle”*

**Jakub Kasperkiewicz**

## **Częstochowa to dobre miasto**

Aleje były skapanie w bladym świetle jesienno-śnieżnym. Ludzie mijali się, nie zwracając na siebie większej uwagi; prawie każdemu się gdzieś spieszyło, tylko nieliczni spacerowali w celach rekreacyjnych. Typowy urok głównej ulicy i arterii komunikacyjnej miasta. W powietrzu można było wyczuć pragnienie awansu i zawodowego spełnienia, wygrania konkursu czy dostania jak najlepszej oceny, ale również chęć jak najszybszego położenia się w łóżku bądź zjedzenia czegoś ciepłego. Po twarzach i sylwetkach łatwo było poznać, kto czego chce, dokąd zmierza, a u niektórych nawet - co czuje. Jedno było pewne - wszystkim było zimno. O siódmej rano wszystko wskazywało na to, że słońce dumnie wstanie, znajdzie jakieś wygodne lokum na nieboskłoniu i tak będzie trwało do momentu, w którym stwierdzi, że wystarczy tego dobrego i schowa się za horyzont. Już około dziewiątej zaszło za chmury, w tym samym czasie zaczął dąć nieprzyjemny, zimny i przenikliwy wiatr. Irytacja pieszych była duża i wyraźnie widoczna - twarze wykrzywiały się atakowane drobinkami niesionymi przez wiatr, ciała kulily się pod wpływem zimna, a dłonie ocierały się o siebie w celu wykrzesania chociaż odrobiny ciepła. Ale, poza tymi drobnymi niuansami, był to zwykły, najzwyklejszy częstochowski dzień, w którym jedni się cieszą z sukcesów, a inni martwią porażkami (w tym samym czasie) - co jest niepokojące tylko dla tych, którzy zdadzą sobie sprawę z owego brutalnego symultanzmu. Jedną z osób, ciągnących Alejami w ten chłodny jesienny poranek był Jacek - młody, zdolny i obiecujący prawnik. Zazwyczaj chodził tędy do pracy, lecz bywały dni, kiedy wybierał inną trasę - czasami stwierdzał, że ma dość Alei i musi od nich trochę odpać. Odetchnąć od ich przepychu i gwałtowności - co zwłaszcza odnosiło się do kierowców, których przeżycia były znacznie zintensyfikowane od momentu, w którym zaczęto remont i dostępny dla samochodów był tylko jeden pas jezdni. Jacek był dobrym kierowcą, do tego umiał bezbłędnie rozpoznąć słabych automobilistów i w chwilach dużego nagromadzenia emocji potrafił odnosić się do nich z naprawdę niewielką dozą szacunku. Tego dnia akurat, co rzadko się zdarzało, nie musiał obrzucić żadnego kierowcy niemilnymi epitetami, co go bardzo zdziwiło. Na

podstawie tego stwierdził, że ma dobry humor i że to będzie udany dzień. Dzisiaj musi skorzystać z tego, że fortuna uśmiechnęła się do niego tak szeroko.

Kiedy znalazł się na skrzyżowaniu Alei z ulicą Dąbrowskiego, skręcił w lewo. Podążył do swojej kancelarii adwokackiej, która mieściła się w niewielkiej kamienicy. Okolica była swoistym prawniczym zagłębiem - kilka budynków obok siebie wynajmowali prawnicy, którzy urządzali tam swoje kancelarie. Działo się tak dlatego, gdyż w pobliżu znajdował się sąd, co pozwalało na szybkie przemieszczanie się między salą sądową a kancelarią, nawet bez zdemowowania togi. Przechodnie, uczęszczający ulicą Dąbrowskiego, przyzwyczaili się już do bardzo dużej ilości tabliczek z napisem „kancelaria adwokacka”, przypadających na kilometr kwadratowy. Jacek, po przemierzaniu trzystu metrów, wszedł do jednego z budynków, mieszczących się nieopodal skrzyżowania z ulicą Jasnogórską. Nie lubił w nim trzech rzeczy - skrzypiących drzwi, stromych schodów i naprzykrzających się sąsiadów. Ale nie miał wyjścia, musiał to jakoś codziennie znosić, w miarę możliwości nie okazując swojej irytacji. Przecież zawsze lepiej pozostawać w dobrej komitywie ze współmieszkańcami. Wbiegł szybko po schodach na drugie piętro i stanął przed solidnymi drewnianymi drzwiami, prowadzącymi do jego kancelarii. Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i już miał jeden z nich włożyć do zamka, kiedy z góry, z półpiętra, usłyszał nieco skrzekliwy głos:

- Panie Jacusiu! Dzień dobry! Mam problem z kuchenką gazową, czy mogłabym pana prosić na momentek?

To była pani Wiesia, emerytka mieszkająca na trzecim piętrze, sympatyczna i raczej lubiana przez prawie wszystkich.

„Kurwa mać...” - pomyślał Jacek. Bardzo nie lubił, kiedy mu się w czymś przeszkadzało. Jednak jego myśli drastycznie kontrastowały z tym, co po krótkiej chwili odpowiedział:

- Dzień dobry, kochana pani Wiesiu! Ależ oczywiście, już do pani idę - kiedy było trzeba, potrafił być niesłychanie miły.

Z lekkim ociąganiem udał się po schodach na górę. Jego sąsiadka już zdążyła wrócić do mieszkania, zapewne bardzo ucieszona faktem, że Jacek zdecydował się pośpieszyć jej z pomocą. Wszedł przez otwarte drzwi i znalazł się w korytarzu - na wieszaku wisiała stara jesionka, zmechacony sweter i beret z antenką. Wszedł do pomieszczenia, znajdującego się po lewej stronie, które stanowiło kuchnię. Kiedy się tam znalazł, pani Wiesia zaczęła przedstawiać mu swój problem:

- Widzi pan, panie Jacku, nie mogę podpalić pod młkiem. Coś się chyba stało z moją kuchenką, czy mógłby pan sprawdzić, co się stało?

- Ależ oczywiście, już patrzę - rzekł, zaglądając za relikw gębkowego PRL-u. Po krótkich oględzinach wiedział, w czym problem. Jego sąsiadka po prostu zapomniała odkręcić butli z gazem. Zirykował go ten fakt, wygłosił w głowie kilka uwag na temat jej pamięci i pobytu w domu opieki, na który jego zdaniem pani Wiesia powinna się udać. „Na pewno bym jej to sfinansował, gdybym nie miał ciekawszych wydatków” - skonkludował swoje rozmyślenia. Nieco zezłoszczony, przekręcił kurek do oporu silnym ruchem ręki, aż zaskrzypiał. Wyprostował się, otrząpął ręce i powiedział, uśmiechając się najmilej, jak tylko potrafił:

- Zrobione.

- Już? - zapytała starszuszka ze zdziwieniem.

- Owszem. Po prostu trzeba było odkręcić butlę z gazem. Przepraszam, ja już muszę iść, mam ważne sprawy na głowie. Do widzenia.

Szybkim krokiem opuścił mieszkanie, zszedł na niższe piętro, przekręcił klucz w zamku i wkroczył do swojej kancelarii. Za drzwiami usłyszał wolno stawiane kroki, a po chwili rozmowę dwóch kobiet, starszej i młodszej. To pani Wiesia chciała pożyczyć trochę soku malinowego od innej sąsiadki. Usłyszawszy to, wzruszył ramionami i pomyślał, jak bardzo dużą rozpiętkę ma skala ludzkich problemów. Potem zdjął z siebie płaszcz i po błyszczącej glazurze przeszedł do pomieszczenia, w którym pracował. Wygodnie rozsiadł się na obracanych krześle i założył nogi na biurko. Przeoglądał druki związane ze sprawą jednego z jego najważniejszych klientów. Po kilkunastu minutach coś podrażniło jego nozdrza. Po chwili zorientował się, że czuje gaz, który musi się gdzieś ułatniać. Tylko gdzie? Sekundę później doznał oślnienia: „No tak, Wiesia”. Postanowił interweniować. Lekko zaniepokojony odłożył dokumenty i ruszył w stronę mieszkania na trzecim piętrze. Skoro u siebie czuł gaz, to na górze musiało go być znacznie więcej. Wbiegłszy na górę, wszedł bez pukania do mieszkania - tutaj zapach gazu stał się nieznośny. Pokonał korytarz i skręcił w lewo, do kuchni. Pani Wiesia, jak się okazało, mocno zakatarzona, skończywszy właśnie dmuchać nos w chusteczkę, powitała go z radosnym uśmiechem na twarzy.

- Och, to znowu pan, jak miło! Nie ma pan ochoty na budyni? Już podpalam pod mlekiem.

Mówiąc to, wcisnęła przycisk trzymanej w ręku zapalarki.

*Jakub Kasperkiewicz - tegoroczny absolwent I LO im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie. Miłośnik ludzi, słów, obrazów i dźwięków.*

Anna Chowska

## Skomplikowane relacje

*(Fragmenty większej całości)*

Od dłuższego czasu obserwuję relacje między moją koleżanką Hanką, a jej córką Alą, którym łagodnie i bez szwanku udało się przejść przez trudny okres dorastania dziewczyny, rozstania Hani z mężem, ojcem Ali i usamodzielniania się już dorosłej córki. Wtedy sądziłam, że nic nie zakłóci spokoju w tym niemal wzorowym, opartym na miłości i tolerancji układzie. Jednak los wyraźnie nie sprzyja zbyt długo trwającemu spokojowi, bo od pewnego czasu Ala diametralnie zmieniła swój stosunek do matki, stawiając Hankę poza nawiasem swoich wyborów.

Ostatnio nawet myślałam, że oto nastąpił kres oczekiwania matki na zmiany w zachowaniu córki, że wreszcie, po okresie buntu, i to wcale nie buntu nastolatki, tylko osoby dorosłej, nawet nieco doświadczonej, nastąpi okres spokoju, wzajemnego zrozumienia i szacunku. Nadzieja okazała się jednak płonna, bo tylko Hanka wychodzi naprzeciw problemom Ali, stara się nie być drobiazgową, nie daje na każdym kroku do zrozumienia, że wie lepiej. Tymczasem Ala staje się coraz bardziej arogancka, zarozumiała, przemądrzała, czasem prostacka, niepokorna, z nieskrywanym poczuciem wyższości i wyraźną sugestią zamiany ról. Wielekroć czytałam, że córki silnych matek pozostają w opozycji do nich. Mnie to jednak pachnie kompleksami, bo to nie jest opozycja jako sztuka dla sztuki, ale zdecydowane, pełne determinacji przekonanie Ali o słuszności swojego postępowania i wyrzucaniu Hani na aut, spychania do roli, czasem pozytywne, przedmiotu. To nie Hanka powinna szukać fachowej pomocy, tylko Ala, co ta druga sugeruje. To córce brakuje pewności siebie i ów brak pokrywa nonszalancją i zarozumiałstwem.

Początkowo sądziłam, że spolegliwa postawa Hanki, jej nieustające wybaczenie, załatwi sprawę i wytrąci dziewczynie argumenty z rąk. Ala i jej huśtawka nastrojów, ciągle zmiany zachowań, ich chwiejność, to taki zespół, który nie pozwala na normalny, codzienny kontakt bez zgrzytów. Brak pewności siebie i nadmierna pewność siebie w jednym. Gdzie tkwi problem i jak go rozwiązać? Żadne próby rozmów między nimi nie odnoszą skutku, bo zwykle następuje nerwowa reakcja ze strony Ali, znacząca brak gotowości do dialogu. Dziewczyna zresztą dyskutować nie umie, a jeśli już próbuje, to niczym marny oficer w wojsku, wyrzuca z siebie jedynie rozkazy i pozostaje głucha na argumenty. Poza tym zbyt często



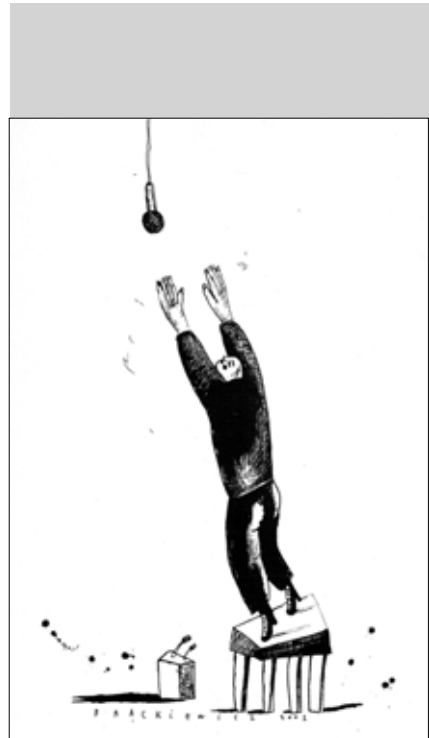
identyfikuje się z tymi, którzy są oponentami Hanki. Zupełnie nie umie wypośrodkować różnicy między tym, do czego jako córka jest zobowiązana, a tym, co jest pokrętnym i mamiącym podszeptem pseudo-przyjaciół. Nieustająco robi z siebie męczennicę, lecz tylko w oczach osób życzliwych sobie. Z satysfakcją urabia matce opinię potwora, zalety zamieniając na wady. Wszystko, czego nauczyła ją Hanka przypisuje innym, których czyni swoimi miernymi autorytetami. Chyba nie umie się przyznać przed sobą, że jest o matkę zazdrosna i nie umie sobie z tym poradzić. Wzoruje na niej swoje zachowania, głosi jej poglądy, ale jednocześnie się od nich ostentacyjnie odcina. Woli ośmieszać, przedrzeźniać i drwić z Hanki. Ala umie się też pięknie popisować postawą kochającej córki, ale tylko przed członkami rodziny, których opinii się boi. Taki Dr Jekyll i Mr Hyde.

Dziewczyna przeraża swoim zimnym, bezwzględnym, obojętnym zachowaniem, sprawiając wrażenie jakby w miejscu serca miała kamień. Odporna na próby uświadomienia jej niebezpieczeństw płynących z uruchamiania mechanizmów takiego postępowania. Ala, uczona przez Hankę umiejętności wychodzenia naprzeciw życiowym dylematom, uczona tolerancji i wyrozumiałości, jest nietolerancyjna i niewyrozumiała, ale tylko wobec matki, której z satysfakcją zadaje ciosy w ramach owego wychodzenia naprzeciw.

Nauczona bycia pokrzepianym, wzmacnianym, chronionym, nie odwzajemnia tego, za to bardzo chętnie czyni to wobec innych, najlepiej obcych. Pewności siebie i przekonania o własnych racjach dodaje Ali partner, z którym mówi jednym głosem, ale tylko dlatego, że on mój jej głosem. Mężczyzna stanowi dla Ali mocne wsparcie, z którym Hanka nie ma szans, bo Ala bez jego obecności nie podejmuje z matką rozmów, a jeśli już - to jest to samouwielbiana, pozbawiona uwagi i zrozumienia dla argumentów drugiej strony, monolog.

Obserwuję je od dawna, od Ali niemowlęctwa. Wtedy gdy Ala była mała, Hanka pielęgnując ją, radośnie czekała, aż dziewczynka urośnie i stanie się jej przyjaciółką. Sama nigdy nie mogła liczyć na swoją matkę, osobę o toksycznej osobowości, przede wszystkim skupioną na swoim ego, więc myślała, że w relacjach z córką znajdzie to, czego nie doświadczyła w relacjach z własną matką. Do pewnego czasu wprawdzie tak było, ale gdy Ala wychodziła za mąż coś się zmieniło, coś pękło, chociaż to Hanka, a nie jej mąż, który tego związku nie pochwałal i nie znosił przyszłego zięcia, sekundowała decyzji córki. Hanka postępowała tak, by nie stracić Ali i do niczego jej nie przekonywać. Wiedziała, że sama też by nie zniosła nacisków, więc pozostawiła córce swobodę wyboru. Ala początkowo była z matką, by - z nie wyjaśnionych dla mnie przyczyn - przejść na pozycję przeciw

Hance. I niestety tak zostało, choć krótko po ślubie Ala przyszła powiedzieć, że jej małżeństwo jest nieporozumieniem, że chce się rozwieść i wprowadzić z powrotem do matki, a Hanka przyjęła ten wybór z dobrodziejstwem inwentarza, natychmiast oferując pomoc. Gdy rychło okazało się, że kolejnym wybrankiem serca Ali jest dużo starszy mężczyzna, o pokreślonym życiorysie, Hanka zacisnęła zęby, znów okazała daleko idącą wyrozumiałość, znów zupełnie odwrotnie niż ojciec Ali. (cdn)



Jacek Frackiewicz

## Ismena Gallagher

(debiut)

### Moja nostalgia

I znowu  
jesień przyszła  
nic mi o tym  
nie powiedziałaś  
widzę jeszcze twój cień  
ginący we mgle  
osnuwającej o zmierzchu  
Doliny Minionego Czasu  
i już nie pobiegnę za tobą  
i nawet mnie to nie dziwi

I znowu  
po deszczu  
ziemia pachnie  
liśćmi mdlejącymi  
w ognistych kolorach  
potem wiatr  
rozdyma je zalotnie  
po ogrodzie parującym  
w leniwych promieniach słońca

A ja uciekam  
przed hałasem ulicy  
do wybijałego parku  
ze starym domem  
co wznosi się zapomniany  
wśród karminowych  
płomieni dzikiego wina

Mijam omszałą biel  
alabastrowej Ofelii  
lekką pochyloną nad fontanną  
a woda tryskająca  
z dłoni Hylasa  
spływa po jej twarzy  
jak łzy

### Akbar

Spoglądam na drogę  
co wiję się wśród  
gajów oliwnych i lasów pinii  
aby odnaleźć Akbara  
i jego twarz jak asyryjska mozaika  
pociemniała od pustynnych wiatrów

A on zbiega ze wzgórza  
kołysząc się dumnie z cyprysami

Siadam pod  
rózaniem drzewkiem i  
wyciągam dłoń  
po jego uśmiech

*Ismena Gallagher – malarka i poetka. Urodzona w Częstochowie, studiowała sztukę w Birmingham, gdzie wystawiała swoje obrazy. Podróżniczka, odwiedziła m.in. Indie i Afrykę.*

**Małgorzata Raszewska****w moim mieście**

moje miasto  
 ma zapach święconej wody  
 z tabernakulum  
 czuje oko ojca i matki  
 łypie na krzyżową drogę  
 ciągle czuję w ustach  
 smak palonej świecy  
 blask latarni  
 spala aleje

a na górze  
 panienska w białej sukience  
 twarz wyciera od płaczu  
 parzy się od świecy  
 wybiega z kościoła –  
 jej modlitwa już nie pomogła

moje miasto mówi nocą  
 krzyżem  
 dzwonem  
 gniecioną puszką  
 wyciem psa...

**Kolacja**

Człowiek człowiekowi  
 talerzem  
 nożem w ręku mordercy świętym  
 zajęтым krzesłem na wigili  
 krzyżem pańskim  
 judaszem

a na kolacji w czyścicu  
 w białych rękawczkach  
 podajemy sobie nawzajem  
 do ust  
 starannie przygotowanego  
 „baranka” w ziołach  
 i nabieramy wina na usta

Aniołowie przeszli na wegetarianizm.

**mycie rąk ma zawsze jakieś konsekwencje**

kiedy Piłat mył ręce  
 faryzeusze rozdawali złote myśli  
 w systemie argentyńskim  
 sprzedawali mieszkania  
 i rozprawdzali haszyszy  
 do domów pielgrzymów

do tych  
 co  
 z Mekki do Medyny  
 nie mieli kolei i musieli pieszo  
 spalać kalorie w palącym słońcu

kiedy Piłat umył ręce  
 nie było czuć mydła  
 z Brzezinki  
 tylko woń przenaświętszej krwi  
 spadającej kaskadami z czoła

**Judasz**

Przez Judasza  
 Bóg obserwował ludzi  
 A oczy łzawiły nieustannie...

Judasz wyjątkowo palił duszę.  
 Niewinni mogli popaść w duszności  
 gdyby nie otwierali okna.

(Na szczęście – bywali i tacy – wybijali życiowie  
 Pokonawszy drogę,  
 Przystąpili do  
 Stowarzyszenia Podglądaczy Przez Dziurkę Od Klucza)

Przez Judasza Bóg podpatrywał świat  
 A oczy mu krwawiły niemilosiernie...

Judasz wyjątkowo palił duszę!  
 Palił i palił, aż pewnego dnia serce mu pękło  
 Srebrniki uciekły z kieszeni  
 A Bóg zszedł na ziemię...

*Małgorzata Raszewska – ur. 1984 w Blachowni, studentka polonistyki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Laureatka Turniejów Jednego Wiersza w OPK „Gaude Mater”. Współpracuje z wyd. internetowym Allarte, gdzie publikuje i komentuje różnorodne teksty literackie. Interesuje się także fotografią oraz tańcem nowoczesnym.*

Waldemar Skrzypczyk

## BARBARY ŁĄGIEWKI FRASZKOWE POLIFONIE



Ponieważ lekturze fraszek i aforyzmów Barbary Łągiewki – opublikowanych dotychczas w tomikach: *Z „rymskich” wakacji* (1992), *Krótko mówiąc* (1995), *Nieczule słówka* (2002), *Wywar z przywar* (2006) – towarzyszy najczęściej spontaniczny śmiech, można by sądzić, że priorytetowym celem tej twórczości jest ubawienie czytelnika. Wątpliwość rodzi się z chwilą, gdy uświadomiwszy sobie, że pokazna część utworów pobudza do całkiem innych reakcji, a nie brakuje i takich „wyznań”, które jeśli nawet sprowadzają na twarz uśmiech, to raczej gorzki, pełen współczucia i politowania. Co więc naprawdę jest istotą intencji Autorki? Wbrew pozorom ogólna odpowiedź na to pytanie wydaje się prosta: Łągiewka rzeczywiście chce bawić, ale tak jak mędrzec, który doskonale wie, że inteligentnie pomyślana zabawa bądź gra ma zawsze pewien walor poznawczy. Nie potrzeba dowodzić, że z takiej wiedzy mogą płynąć różnorakie korzyści, trzeba natomiast zastrzec, iż nie bezpośrednio na nich koncentruje się niniejszy komentarz; chodzi w nim nie tyle o analizę „przesłania” wpisanego w to dzieło, zawarte w wymienionych zbiorach, ile raczej o skupienie się na pewnych dystynkcjach, zdobyczach i wynalazkach warsztatu poetyckiego fraszkopisarki, o próbę wniesienia w tajemnicę „sztuki wyrobu” owych rozmiarami skromnych, lecz misternych, z jubilerską precyzją doszlifowanych „precjozów”.

Na górną półkę regału z dobrą poezją powinny trafić m.in. te utwory, w których pojawiają się wyjątkowo pomyślowe „neologizmy semantyczne”. Zespół ten łatwo podzielić na dwie grupy. Jedna z nich skupia fraszki wykorzystujące podobieństwo lub tożsamość fonetyczną słów czy wyrażań, które w stosownych kontekstach opalizują zaskakującą wieloznacznością;

przykładowo: w czterowierszu *O schlebianiu* tytułowe określenie nabiera nie tylko nowego sensu, oznaczając codzienne dostarczanie chleba, ale właśnie pod wpływem owej wolty znaczeniowej urasta do rangi istotnego przejawu miłości małżeńskiej, jeśli zważyć, że przysługę tę wyświadcza mąż żonie; w *Wędkarzu* słówko „zwędzić”, czyli potocznie – „ukraść”, nabrało „neologicznego” znaczenia („złowić”) dzięki pokrewieństwu z wyrazem tytułowym (korelacje te generują właściwy sens obu fraszek); niekiedy, na odwrót, znaczenie jakiegoś składnika tytułu zostaje przenicowane przez tekst, czego przykładem „Ujmująca pani”:

*Od lat czaruje świat  
ujmując sobie lat*

W drugiej grupie (mieszczą się w niej także pisane prozą sentencje) nie współbrzmienność środków językowych jest ważna, lecz odpowiedni kontekst, który sprawia, że proste słowa grają podwójnym znaczeniem, jak w błyskotliwej fraszce „Dobrze urodzony”:

*To z arystokracji?  
Czy bez komplikacji?*

w znakomitej „Pociesz dla trzydziestolatek”:

*Przy setce  
trzydziestka  
to pestka*

czy równie udanej „Striptizerce”:

*Wśród wszystkich kobiet  
do rozbiórki obiekt*

oraz – wedle tej zasady – w paru innych, w których mowa o żebraku jadającym obiady *proszone*, elektryku dobrym w *kontaktach*, *oddanych mężach* – by może wcześniej „wypożyczanych”, pedagogach pracujących za mało, choć pragnących „za... więcej”, „*szlubie zdrowia*” wrogiej poddaństwu i dlatego opomej wobec *państwa* czy o *mańkutach* – *zwolennikach lewicy*, gdy zaś chodzi o aforyzmy, to w nich m.in. o *dziennikarzach wietrzących sensacje*, bo *one często nieładnie pachną* lub o tym, że *pacjentowi po operacji rozrywka nie jest wskazana*. Za majstersztyk w tej kategorii utworów wypada uznać fraszkę „Zakochani”:

*Zakazów nie szanują  
i wszędzie parkują*

gdzie zadziwiający migotliwością semantyczną wyraz wyspacjowany, nie utraciłszy całkowicie zwią-

ku z „parkowaniem” w podstawowym znaczeniu, tj. pozostawieniem na pewien czas samochodów w przeznaczonym do tego miejscu, oznacza jednak przede wszystkim charakterystyczne zachowania młodych ludzi trawionych miłosnym ogniem, którzy dawniej obdarzali się czułościami zwykle na ławeczkach parkowych, a obecnie, lekceważąc „zakazy” obyczajowe, czynią to wszędzie, przy czym fraszkowi zakochani „parkują” w podwójnym sensie, bo raz, że właśnie nie w ustroniach parku, choć na modłę „parkową”, a dwa, że parkami, bo i taki odcień znaczeniowy zdaje się ogarnąć swym zakresem ów „neologizm”.

W ogóle frazeologia to domena Autorki – tu porusza się najswobodniej, tu jest ekspertką. Nic więc dziwnego, że sięga nie po słownictwo „wykwintne”, eksklusywne, ale właśnie z zasobów mowy potocznej, nasiąkłej różnorodnymi „frazeologizmami”, potrafi wydobyć niezwykle bogactwo znaczeń – takich, które w jej spostrzeżeniach i refleksjach zaczynają lśnić zupełnie nowym blaskiem. Jak różne mogą być sposoby twórczej eksploatacji „treści” drzemiących w mniej czy bardziej utartych związkach wyrazowych – to niech zilustrują krótkie omówienia kilku fraszek z *Wywaru z przywar*. Okazuje się, że niekiedy jądrem zamysłu artystycznego jest igranie przenośnym i dosłownym znaczeniem całych wyrażen frazeologicznych, których wzajemną relację określa antynomia, co ma miejsce we fraszce „Dość często”:

*Czysty zysk,  
jak widać w krag,  
ma posiadacz  
brudnych rąk*

(analogicznie – „W sądownictwie”, gdzie „[...] mokra robota / uchodzi na sucho”); dowcipnej modyfikacji uległa owa przeciwstawność w utworze „Można”:

*Można powiedzieć  
młodym osobom -  
wszystko przed nimi,  
gdy są za sobą*

– w tym wypadku wspomniana relacja nie dotyczy całych zwrotów, lecz wyłącznie ich elementów przyimkowych, które zresztą pod naciskiem kontekstu pozostały wobec siebie antynomiczne już tylko formalnie. Inny zabieg jest źródłem humorystycznego efektu we fraszce „Strażnikom prawa”:

*Sędziom też się zdarza  
przymknąć oko,  
zamiast przymknąć kogoś,  
kto stoi wysoko*

– tutaj igrą się dwuznacznością czasownika „przymknąć”, będącego trzonem dwóch różnych związków frazeologicznych. W jeszcze inny sposób zreaktywowana została pewna „martwa” zbitka w „Sposztrzezeniu”:

*Konkluzja wobec  
sprzecznych przepisów:  
w obliczu prawa  
jest wiele rysów*

– skutkiem ingerencji w sam miąższ frazeologizmu niespodziewanie „ożyła” jego skostniała cząstka, tzn. forma „w obliczu” przez przywrócenie jej znaczenia podstawowego dzięki wyrazowi, który logicznie do niej się odnosi, czyli dzięki „rysom”. Za jeszcze jeden przykład eksperymentowania w tym stylu niech posłuży fraszka „Wśród przestępców”:

*O pewnych typach  
można powiedzieć,  
że stać ich na to,  
żeby nie siedzieć*

– tu, dla odmiany, wykorzystano spłot antynomii dosłownego znaczenia wyrazów „stać – siedzieć” z antynomią ich znaczenia frazeologicznego: „stać kogoś na coś” – „nie siedzieć w więzieniu”.

Pewnym urozmaiceniem odznaczają się fraszki epatujące „dociekaniem” z zakresu quasi-etymologii, czyli etymologii na wesoło. Ironię w dystychu „Donoszącemu” wzmacnia puenta z „etymologicznym” żartem: *Donos winien brzmieć donośnie*; pomysłem „przewrotnych” dedukcji, będących próbką swoistej „lingwistyki” poetyckiej, zadziwia i bawi fraszka „Pytanie”:

*Czy byłaby w tym logika:  
górnika nazwać - >dolnikiem<,  
a górnikiem - taternika?*

we wdzięcznym drobiazgu pt. „Wiadomo” mało szlachetny trunek, powszechnie znany pod nazwą „czyściocha”, znajduje swój „etymologiczny” ekwiwalent w... symbolu chemicznym (którego artykulacja daje w dodatku rym!): „C<sub>2</sub>H<sub>5</sub>OH”; zapewne więcej niż tynfa trzeba by zapłacić za oryginalną „wątpliwość” i takiej jej „rozwiązanie” we fraszce „Jak to jest?”

*Czy ma związek z Kurdem  
nasze swojskie >kurde<?  
Bo ja się pocieszam,  
że to od kurde (sza)*

w perelki poetyckie przemienia dwie fraszki z najnowszego tomiku właśnie zaskakująco humorystyczne „etymologizowanie” – w pierwszej „Po

przejeździe” *marne trawienie skojarzone zostało z... marmotrawcą*, w drugiej „O porządkach” walkę z molami zaproponowano nazwać... *demolowaniem*.

Nierzadko czynnikiem „unerwiającym” zawarte we fraszkach myśli jest dążenie do nietuzinkowego skrótów w nazywaniu rozmaitych stanów, zjawisk, przyjętych „zasad”, zwyczajów czy nawyków. Przykładów – świetnych – jest mnóstwo, wypadnie więc poprzestać na drobnym wyborze z dwóch pierwszych tomików: w „Nieromantycznym wyznaniu” rozbrzmiewa głos kogoś zaiste niewybrednie szczerzego:

*Kiedy cię zobaczę...  
ciśnienie mi skacze*

tytułowy Malkontent

*Ma ochotę  
na... zgryzotę*

„Zasada młodych” głosi, że *Grunt /to bunt!*, dostrzeżenie przez kobiety w ich dzieciach znamion wyjątkowości to *Omamy / mamy*, pod adresem żądnych wrażeń nastolatek kieruje się wymowne przypomnienie:

*Żadna nie zbrzydła  
od użycia mydła!*

poprawianie urody za pomocą „Maseczek upiększających” zostaje skwitowane umyślnie kolokwialną formułą: *Opryski / na... pyski*, a „Wymalowana piękność” doczeka się utrzymanego w podobnej tonacji stylistycznej i zarazem powalająco lakonicznego podsumowania – „*Pic / lic*”; trudno przy tej okazji pominąć fraszkę, która wśród kiedykolwiek napisanych bije wszelkie rekordy zwięzłości – nosi tytuł „Przywódca” i brzmi: *As / mas*.

Nie pozbawione wdzięku... „wydźwięki” mają utwory – by tak rzec – „homofonizujące”. Wśród nich do stosunkowo najprostszych należą fraszki z homonimami czasownikowymi i rzeczownikowymi w klauzulach, jak w „Myśliwym”, w którym tytułowa postać

*Zawsze się zwierza  
z taakiego zwierza!*

i kilku z „Wywaru.”: „Malarzowi X”, „Na pewno”, „Niekiedy”, oraz w kuriozalnie małoślovnym „Lęku”, gdzie całość tworzą wyłącznie dwa homonimy: *Szczęk / szczęk*. O zaistnieniu osobnej grupy tekstów, mieszczących się jednak w tym typie kategorialnym, zdecydował posiadany przez Łągiewkę słowotwórczy „dzielnik” w oku, dzięki któremu ujawniona została osobiwa – właśnie „homonimiczna” – rozszczepialność pewnych wyrazów, możliwa tak w wariacie ścisłym (literalnym), jak i przybliżonym; egzemplifikacjami pierwszego są np. fraszki: „O Ikarze”:



*Mit Ikarz:*  
*Wzlot i... kara*

„Rezygnacja w ostatniej chwili”: *Odwrót / od wrót*, „Najlepsze mięsa”: *Zwierzynka /z Wierzynka*, drugie-

go – niewątpliwie bardziej wyrafinowanego, choćby z uwagi na większą trudność odkrycia walorów homofonicznych, warunkujących jednocześnie „wymuszenie” transakcentacji – takie klejnociki literackie, jak: „Męska decyzja”:

*Rozstanie:  
już ta nie*

„Smutna prawda”:

*Życie mija  
a z nim i ja...*

bażdy „W zespole”:

*Po tym nietakcie  
chcą już nie tak cię;*

Warto dodać, że przenikliwa wyobraźnia językowa Łągiewki ułatwiła jej sformułowanie zabawnego pytania w związku z tytułem „Turek”: *Miniatura / tura?*

Ostatni przykład trochę już koresponduje z nieco odmienną, acz w niewielkim stopniu, formą gry słownej – z paronomazją, definiowaną w *Słowniku terminów literackich* jako „zestawienie podobnie brzmiących słów, zarówno spokrewnionych etymologicznie, jak i niezależnych, uwydatniające ich znaczeniową bliskość, obcość lub przeciwieństwo”, z chwytem, który „bywa źródłem żartów językowych”. Istotnie, bywa, co potwierdzają fraszki: „Zwolennik teleterapii”:

*Kiedy niedomaga,  
maga się domaga,*

„Na majówce”:

*Dodasz smaku potrawie,  
trawiąc strawę na trawie*

lub „O zalecaniu”:

*Zalecanie zalecam,  
gdy się zaleca Leca*

a w sposób szczególny – łączące „technikę” paronomazji i homonimizacji – wynalezienie niemal identycznie brzmiącej, ale bardzo różnie znaczącej (za sprawą jednego znaku diakrytycznego!) dwuwyrzowej pary, która wypełniła oba wersy fraszki „Do docenta antyfeministy”:

*Panie docencie!  
Panie doceńcie.*

Dar wyławiania brzmieniowo-znaczeniowych niuansów w języku i lotność skojarzeń połączona z poczuciem humoru zaowocowały piękną etiudą onomatopeiczną pt. „Sąsiedzi”:

*Często sobie gruchają,  
jak mnie nie zmyli słuch.  
Albo ona jego,  
albo on ją... gruch!*

oraz zgrabnie zrymowanymi obserwacjami „niespodzianek” ukrytych w zwyczajnych słowach, co wiadać m.in. w „Dobrej radzie” (z cyklu *Różne* w tomie Z „rymskich” wakacji):

*Odwróć sylaby  
w wyrazie >złoto<,  
a spojrzysz na nie  
z mniejszą ochotą!*

czy w „Ministrze”:

*Choć był najlepszy  
wiele nie uczyni,  
skoro nawet w nazwie  
jego ster jest... mini.*

Odnotujemy na koniec obecność fraszek „z cytatem” – przejętym z literatury, filozofii, popularnych piosenek, z nazw programów telewizyjnych, a nawet z reklam – arcydziełem tyleż pociesznych, co kunsztownych, spośród których godzi się przytoczyć chociaż „Szczególny śpiew”:

*Śpiew zakochanych partaczy:  
„Miłość ci wszystko wypaczy”*

a obok nich zwrócić uwagę na zawartość kapitalnego „aneksu” w „Niezłych słówkach” pt. „Nowości wydawnicze” z takim dla przykładu anonsem: >Ma-loroln<. *Biografie aktorów grających male role.*

Niniejszy rejestr uwag, pomyślany jako próba posegregowania omawianych tekstów według kryterium pewnych rodzajów „działań twórczych”, został sporządzony głównie po to, by zaostrzyć czytelnicy apetyt, a nie z myślą o jakiejś specjalnej rekomendacji fraszkowo-aforystycznego dorobku Barbary Łągiewki, takowej on bowiem nie wymaga, sam się – by sparafrazować styl jednej z zacytowanych fraszek – swymi zaletami załotnie zaleca.

**Waldemar Skrzypczyk**

Zbislaw Janikowski

## „DZIORGA”

*Dziorga, dzierga, dzierzawa* – chłopięce wyprawy do cudzych ogrodów - pociągały za sobą wielkie ryzyko. Były nie tylko sztabacką zabawą, naruszały obowiązujący porządek prawny i własność prywatną, (choć ta nie była w tamtych czasach specjalnie chroniona).

Czas dziorgi nastawał równo z czasem pierwszych owoców i trwał aż po jesienne orzechy. Cel wyprawy był głęboko przemyślany – cudzy ogród otoczony zwykłym, niezbyt wysokim płotem, za którym rosły czereśnie, wiśnie lub papierówki. Takie same, a może nawet lepsze owoce były w naszym i innych znajomych ogrodach, do których kto inny przychodził na dziergę. Wyprawa na dziorgę, po zakazany owoc, smakowała inaczej, lepiej.

Wypuszczaliśmy się zwykle pod wieczór, zawsze w grupie kilku chłopców, oczywiście na rowerach, te dodawały pewności i zwiększały mobilność w potrzebie pilnej ewakuacji. Czereśnie i wiśnie były owocem najbardziej atrakcyjnym, a ich zbiór nie nastęczał większych trudności. Podjeżdżano się pod płot, za którym rosły, opierało oń rower, potem wystarczyło stanąć na ramie i rwać. Oczywiście nie wystarczyło najęść się do syta, rwało się i chowało „na zaś”. Najlepszym schowkiem była własna koszula, wpuszczona w spodnie, dawała ogromne możliwości, wrzucało się za nią cały „urobek”. Jedyne niebezpieczeństwo kryło się w nieuwadze lub potrzebie nagłego opuszczenia stanowiska pracy, wtedy za koszulą - tak jakoś samoistnie – powstawała pulpa owocowa, szczególnie trudna do ukrycia w przypadku wiśniowego surowca. Niejeden naraził się przez to na domowe przykrości, co dało się zauważyć następnego dnia, gdy nie mógł opuścić domowego aresztu, a jeżeli już, chodził jakiś smutny, unikał wszelkich podwórkowych zajęć mających w programie normalne i przyrodzone każdemu człowiekowi siedzenie, za przeproszeniem, na...

Równie zdraдлиwe były wszelkiego rodzaju gruchy, też pekały, płamili gęstym słodkim sokiem, na dodatek były przysmakami jesiennych os. Te przakowane czarno-żółte bestie nie były tolerancyjne, kasały czy tam żądliły bezlitośnie i boleśnie, odnosiło się wrażenie, że bronia dostępu do owocowego skarba lepiej niż najwyższe płoty czy spuszczane z łańcucha groźne psy. Niejeden z moich kolegów (zresztą ja też) naraził się tym złośliwym owocom, bolało, szczypało, swędziło, wokół miejsca ukucia powstawał czerwony obrzek – osy były jedynym postrachem dla nas, „nieustraszonych”. Gruchy miały też swoją gruszkową tajemnicę, mimo że dorodne, urodziwe, nie zawsze nadawały się do spożycia, a jeżeli już to z gwarantowanym rozwolnieniowym efektem. Kto z nas, niedoświadczonych miłośników cudzych sadów, mógł przewidzieć, że bywają takie odmiany jak zimówki, które przed spożyciem należy przechowywać przez pół zimy i to w odpowiednich warunkach.

Kłopotów nie było z jesiennymi sliwami. Złotozielonkawe renklody, węgierki z niebieskawo-granatowym nalem, który zniknął w zetknięciu z przeważnie brudnymi rękami, późnojesienne drobne damachy, soczyste i bardzo słodkie, te trwały na drzewach do pierwszych przymrozków. Wszystkie smakowały jak każdy zakazany owoc, jednak najlepsze jakie jadałem, pochodziły z ogrodu sióstr Zmartwychwstank. W tym przypadku nie poczuwam się nawet do winy, byłem za mały do sforsowania wysokiego kamiennego muru, a poczęstunku przez starszych kolegów nie mogłem zlekceważyć, nie przyjać.

Jesienne orzechy były przysmakiem z najwyższej półki, zwłaszcza wtedy, gdy zadało się samemu sobie tyle trudu, aby po wydobyciu ze skorupy słodkiego jądra obdechrzeć je z cieniutkiej gorzkawej skórki. Orzechowym minusem były zielone lupiny, te nie wiedzieć czemu brudziły na brunatno dlonie i to tak, że w przypadku większej uczty dlonie stawały się czarne, na dodatek czernią absolutnie niezmywalną, a to z kolei nie bardzo podobało się rodzicom i nauczycielom. Dziś sądzę, że takie niewinne orzechy prowadziły do konfliktu pokoleń (w rodzinie) i do trwałych podziałów między uczniami i nauczycielami, a te być może miały wpływ na kształtowanie się przyszłych postawy rewolucyjnych i legły u podstaw ideologicznej walki klasowej. Orzechy, poza uczniewaniem rękami, miały same plusy, można je było bezkarnie nosić i przechowywać w kieszeniach, ukryć przed kolegami w zakamarkach znajomej piwnicy lub komórki. Niektóre zakamuflowane zapasy odnajdowały się dopiero na wiosnę, do innych dobierały się bez zgody właściciela piwniczne myszy, jeszcze inne czekają dalej na (mam nadzieję) sensoryczne odnalezienie (po 50 latach można będzie je uznać za zabytek).

Absolutnie niewarte wspomnienia były letnie wyprawy (przez dziurę w płocie) po marchewkę, bo co to za zdobywcę, warta najwyższej podniebienia królika, a o ziemniaki do pieczenia w jesiennym ognisku łatwiej było z maminęj piwnicy. Przyznaję, że i te trzeba było czasami w trudzie nie małym „organizować”. Najmniej ciekawe były jednak efekty naszego przyrzadzania tego popularnego przysmaku. Z ogniska niemal z narażeniem życia (no, może raczej osmalonych brwi i nadpalonej czupryny) wyciągało się albo twarde na wpół surowe, jeszcze niejadalne, lub już czarne, zwęglone kulki, które przy dużej dozie wyobraźni dały się skojarzyć z ziemniakami. Smakiem nie przypominały niczego znanego w kuchni polskiej i nawet najbardziej egzotycznej, nam jednak smakowały lepiej niż najbardziej wymyślne frykasy. Próbowaliśmy też piec inne płody ziemi, ale ani marchew, ani buraki nie smakowały, a pieczone jabłka trudno zaliczyć do plodów ziemi, raczej nieba.

Przy okazji pieczenia, a właściwie przy paleniu ogniska, dopuszczaliśmy się poważnego przestępstwa, paliłszy tytoń. Co to było za palenie: skrety – sporządzone ze starej gazety (tytułu nie pomnę), „nadziane” pierwszymi jesiennymi suchymi liśćmi. Jeszcze bardziej wyrafinowane były wysuszone słonecznikowe łodygi, rozżarzone w ognisku, te po wcześniejszym wydubanu ze środka białego miąższu, dały się „ciągnąć”. Sztachnięcie czymś takim zwałało z nóg i zarczacz: nie prowadziło do uzależnienia.





Arkadiusz Zając

Niemal żelaznym punktem ogniskowego programu były skoki przez ogień. Suche jesienne badyle i liście - jak już się rozpały - dawały wspaniałe wysoki płomień. Rozpędzony śmiełek przeskakiwał nad płomieniem, a właściwie przelatował przez niego. Wcale to nie bolało, choć gorąco zatykało oddech, ale ten należało na czas skoku wstrzymać. Traciło się co najwyżej na urodzie, bo opalone brwi i rzęsy odrastały powoli, włosy na głowie znacznie szybciej. Oczywiście nasze wyczyny były tajemnicą, nikt nie śmiał o nich wiedzieć, wszystko jednak jakoś się wydawało. Odnoszę wrażenie, że musieli wśród nas być jacyś tajni informatorzy lub inne kontakty operacyjne, czyli po prostu donosiciele, a co najmniej skarżypyty.

Obok naszego domu był wielki, rozległy ogród. W ogrodzie panowała niepodzielnie moja mama, ale z mamami tak zwykle bywa, że mają na głowie szereg różnych zajęć i obowiązków. Wtedy ogród przechodził w całkowite moje władanie, stawał się miejscem zabaw, czasami musiałem wykonywać jakieś zleczone ogrodowe prace, odczuwałem też boleśnie skutki działalności przychodzących na dziedrze nieproszonych gości. Nie ważne, że oberwali kilka jabłek - za bardzo nie mieli co, bo jabłonka była tylko jedna i chociaż miała owoce wspaniałe w smaku, to były bardzo robaczywe. Czerśnia też rozdziła obficie i dawała wyjątkowo smaczne owoce, była jednak twierdzą nie do zdobycia; jej stare kruche gałęzie nie dopuszczały żadnego śmiałka (za wyjątkiem szpaków), dodatkowo rósł pod nią nieprzebyte gaj agrestów, które też umiały się bronić. Nawet nikt to towarzystwo nie akceptowało i niejednokrotnie potraktowało bardzo brutalnie. To, że spadałem z odlamaną gałęzią prosto w kłujący krzak agrestu, było niczym w orównaniu z próbą wydosłania się z tej palupki. Czerwone pregi po zadrapaniach na rękach i nogach zniknęły dopiero po kilku dniach, za to szczypały niemilosiernie przy każdym myciu.

Najścia nieproszonych gości na ogród skutkowały też późniejszym łataniem dziur w płotach. W miejsce oderwanych sztachet przybijałem nowe (te były też stare) gwoździe miałem z odzysku (prostowałem je z uporem godnym lepszej sprawy), jedynie młotek był narzędziem z prawdziwego zdarzenia, choć odształcnie obuszka wskazywało, że pamięta czasy pierwszych Piastów, a potop szwedzki na pewno.

Największe spustoszenia amatorzy cudzej własności wyrządzali wiosną, rabując bezlitośnie kwitnące obficie bzy i jaśminy. Ścinane przeze mnie kiście kwitnącego różnokolorowych kwiatów zapewniały jakże pożądanym strumień (a raczej strumyczek) żywej gotówki. Po te piękne kwiaty (bzy były w kilku kolorach, w większości „dubeltowe”), przychodziły sąsiadki, trafiali się panowie udający się na randkę z wybranką lub skruszeni mężowie wracający do domów.

Ogród był też miejscem wspaniałych zabaw. W zaroślach i krzakach oraz starej drewnianej altanie znajdowały się „partyzanckie” skrytki i bunkry, zbudowane z gałęzi, połamanych desek i chłopięcej wyobraźni. Zrozumiałe jest, że z partyzantów zmienialiśmy się w złodziei i policjantów. Wcześniejsi i doskonalsi przeróżne sprawności, od zwykłego rzutu kamieniem

przez strzelanie z procy (nieskuteczne) do siedzącego wysoko na gałęzi ptaka, pluciu do celu i inne.

Sam też znajdowałem wspaniałe zajęcia. Wystarczyło tylko wspiąć się na wysoki jesion sięgający ponad dach sąsiedniej dwupiętrowej kamienicy. Najtrudniejszy był pierwszy etap, około trzech metrów nagiego pnia. Ustawiona pod drzewem piramida ze stołków i innych rupieci sięgała co najwyżej jednego metra. Wyżej wymagana była już niemała sprawność, należało gładki pień objąć rękami i nogami (to nie było najprzyjemniejsze, jako że nosiło się na co dzień krótkie spodnie), a następnie podciągając się i pełząc w górę ruchami podobnymi do pełzania gąsienicy, dotrzeć do pierwszych konarów. Wyżej było już łatwiej i wygodniej. To, że konary były coraz cieńsze i bardziej wiotkie, nie przeszkadzało. Widok na okolicę z tej wysokości rekompensował wysiłek a adrenalina (szczególnie w wietrzne dni) pozwalała zapomnieć o lękach i niebezpieczeństwie. Jakże wspaniale wyglądał niedostępny zwykle dach naszej kamienicy, na którym wylegiwał i wygrzewał się kocur sąsiadów zamieszkujących facjatkę. Interesująca była też rozmowa (prowadzona na tak wysokim poziomie) z spędzającym czas na balkonie schorowanym sąsiadem - panem Franciszkiem. W tamtych czasach najwyższe domy śródmieścia nie przekraczały trzech pięter wysokości, nie psuły więc widoku. Z wysokości drzewa można było uczyć się topografii miasta, zapamiętywać na zawsze charakterystyczne sylwetki budynków. Drzewa w niezbyt odległych parkach były dużo niższe, nie zasłaniały widoku na kłasztor, widoczny z tego miejsca w pełnej krasie, jego czerwone wały, szare podzielnymi dachami budynki, strzelistą wieżę. Widać było szklany zegar na poczie przy Ślaskiej, Katedrę, kościół św. Zygmunta i nowy w tych czasach kościół św. Antoniego na Groszu, ponadto las dymiących fabrycznych kominów. Jakże odmiennie niż dzisiaj wyglądała wieża miejskiego ratusza, wtedy Magistratu i cerkiewne cebulowate kopuły na św. Jakubie. Jak wspaniałe na tej wysokości dźwięczał wieczorny dzwonek sygnaturki u Nazaretanek, a w zachodzącym słońcu lśnił blaszany dach teatru. W dali, niemal na horyzoncie, białął wąż budynków dawnych koszar Zawady i kamieniołomy na Złotej Górze. Żle tylko wyglądałi moi rodzice, którym jakoś niezbyt podobały się moje podniebne eskapady.

Dziś nie mogę się nadziwić młodym ludziom, którzy owoc znają tylko ze straganów, a jeżeli już trafia do ogrodu, to dla zerwania kilku czeresni lub wiśni posiłkują się drabinami i wymyślnymi obrywkarkami, a jak smakuje prawdziwie zakazany owoc - nie wiedzą.

**Z. Janikowski**

*Od Redakcji: Z poprzedniego numeru „Alej” chochlik drukarski wyjadł informację, że autorem rysunków do wspomnień Z. Janikowskiego jest Arkadiusz Zajac. Przepraszamy Pana Arkadiusza i Czytelników. Zapewniamy, że chochlik został pouczony.*

**Janusz Mielczarek**

## **Jura AD 1962**

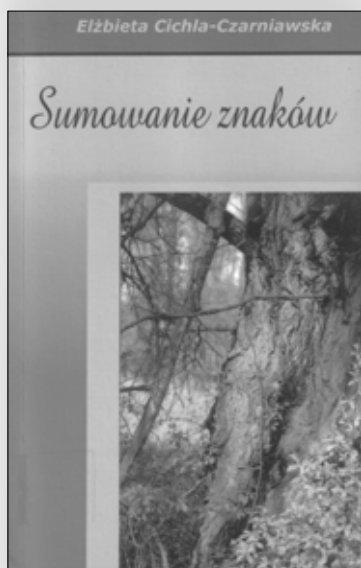
W czerwcu br. gościli na plenerze fotograficznym w Podlesicach fotografowie z różnych stron Polski. Odwiedzając ich, nasłuchałem się komplementów na temat uroków krajobrazu bliskich nam stron. Sam doceniłem je wiele lat temu i cieszę się, że poszerza się krąg osób oczarowanych krainą ostańców. Martwi mnie natomiast fakt, że przybywa „murów fortecznych” okalających potężne poacie terenu skrywającego prywatne posiadłości. W dodatku ma się to nijak do ochrony jurajskiej przyrody. Prywatną posiadłośćcią jest od jakiegoś czasu zamek obiekt w Bobolicach,

niedawno stało się podobnie z zamkiem w Mirowie. Czy wyjdzie to na dobre zamkom i turystyce, przekonamy się niebawem. W Bobolicach sporo już zrobiono przy rekonstrukcji murów a ekipy speleologów próbują odnaleźć podziemne połączenia obiektów, o których od dawna głośno w legendach.

Skąd w czasach automobilizmu fotka z piaszczystą drogą i liche koniska z furmanką? Ano z Jury, z trasy pomiędzy Ostrężnikiem a Mirowem – w roku 1962. Było to w czasie pierwszego rajdu studenckiego zorganizowanego przez Politechnikę Częstochowską. Rozebrany facet przy wozie, to jeden z organizatorów - ksywa „John”. Z pojazdu korzystają najbardziej zmęczone słuchaczkki ówczesnego częstochowskiego Studium Nauczycielskiego. Na furze beczka z wodą, bo tę w niektórych częściach Jury dowoziło się nawet kilka kilometrów. Opłotki przydrożne i strzechy na chałupach nie wymagają komentarza.

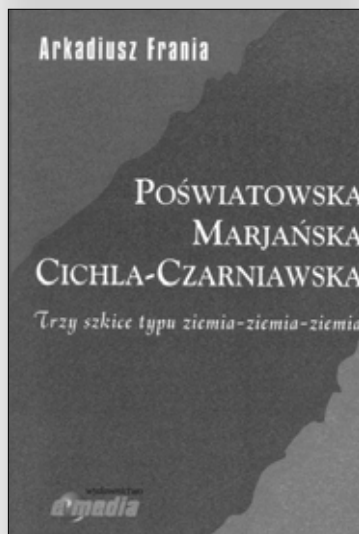


## POLECAMY CZYTELNIKOM



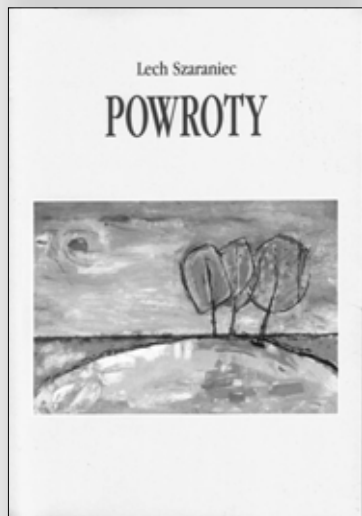
**Sumowanie znaków : (wspomnienia, małe prozy, szkice) / Elżbieta Cichla-Czarniawska. – Lublin : "Polihymnia", 2006. – 355 s.; 21 cm**

Elżbieta Cichla-Czarniawska, poetka, prozaik, badacz literatury, przygotowała tom będący prawdziwym rarytasem dla badaczy literatury regionalnej. I choć we wstępie Autorka twierdzi, że lenistwo i niechęć do angażowania ludzi w swoje sprawy osobiste uniemożliwia jej napisanie autobiografii z prawdziwego zdarzenia, to jednak ten tom szkiców posiada walory autobiograficzne. Jest z pewnością bardzo dobrze napisanym obrazem Częstochowy lat 50. i 60. Są ludzie, klimaty, stare zdjęcia, to, co czytelnik lubi najbardziej.



**Poświatowska, Marjańska, Cichla-Czarniawska : Trzy szkice typu ziemia-ziemia / Arkadiusz Frania. – Częstochowa : "E-Media", 2007. – 87 s.; 16 cm**

Szkice Arkadiusza Frania o najslawniejszych poetkach z Częstochowy rodem to publikacja niepozorna, ale z całą pewnością niezbędna w biblioteczkę każdego, kto literaturą regionalną się interesuje. Autor, ceniony poeta i krytyk, doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa, przyzwyczał nas już do tego, że pisze zwięźle, w sposób interesujący i niewątpliwie bardzo kompetentny. Niewielkie rozmiary tej publikacji na szczęście są w odwrotnej proporcji do przekazu autora.



**Powroty : wiersze z lat 1956-1964 / Lech Szaraniec. – Katowice : Drukarnia Archidiecezjalna, 2006. – 152 s.: il.; 21 cm**

Autor tego tomu wierszy, profesor Lech Szaraniec (urodzony w Iwanowicach koło Kłobucka), to postać znana szeroko w świecie nauki, zwłaszcza Górnego Śląska. Dyrektor Muzeum Śląskiego w Bytomiu, autor szeregu monografi i z zakresu historii Śląska. Niewiele osób pamięta, że prof. Szaraniec w młodości wiele czasu poświęcał poezji, i to z niezłym skutkiem. Na szczęście poeta – profesor odłożył na chwilę naukowe zajęcia i zebrał swój rozproszony dorobek w tomie o znamennym tytule „Powroty”. Przypominamy, że nie mała część tego dorobku publikowana była w częstochowskim miesięczniku „Nad Wartą”



**W poszukiwaniu ducha / Barbara Rosiek. – Warszawa : „Mawit Druk”, 2007. – 122 s.; 21 cm**

Kolejny tom prozatorski Barbary Rosiek jest utrzymany w nastroju poprzednich – bardzo osobisty, na granicy ekshibicjonizmu. Autorka wciąż jest zdecydowana na eksplorację świata doznań okrutnych, bo jakież mogą być doznania w sali szpitalnej i okolicach.

**Studia Claromontana. T. 24 / red. zespól. – Warszawa : Wydawnictwo OO. Paulinów, 2006. – 551 s.; [40] s.tabl. il.; 24 cm**

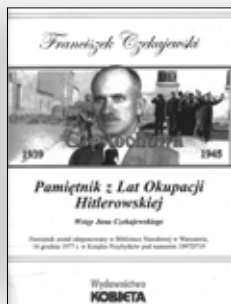
Dwudziesty czwarty tom jakże zasłużonego dla Częstochowy periodyku zawiera 21 publikacji. W części pierwszej tomu dominuje tematyka dziejów najnowszych konwentu jasnogórskiego – artykuły Jozafata Mozgi, Zachariasza Jabłońskiego, Bernadety Miś, Katarzyny Ciemięgi, Eustachego Rakoczego, Saby Bober. Na specjalną uwagę zasługuje publikacja francuskiego historyka Damiena Thirieta o walce PZPR z fenomenem jasnogórskim w latach 1950-1956, oraz wywiad prezydenta Ryszarda Kaczorow-



skiego na temat „Solidarności”. Polecamy także bardzo ciekawy artykuł Barbary Furs na temat parku klasztorowego na Jasnej Górze. Drugą część tomu stanowią materiały z sesji naukowej z okazji 600-lecia fundacji kościoła i klasztoru Paulinów w Wieruszowie. Pozycja ze wszech miar godna polecenia, absolutnie niezbędna miłośnikom historii regionu.

**Pamiętnik z lat okupacji hitlerowskiej / Franciszek Czekajewski; wstęp Jana Czekajewskiego.** – Warszawa : Wydawnictwo Kobieta, 2006. – 185 s.; 22 cm

Pamiętnik Franciszka Czekajewskiego to publikacja bardzo ciekawa, choć autor nie był postacią wybitną, czy też szczególnie zasłużoną. To pamiętnik człowieka, który przeżył koszmar wojenny. Jest to zapis szczególnie cenny dla tych, których interesują realia życia okupacyjnej Częstochowy i codzienne zmagania szarego człowieka z upiorną rzeczywistością.



*Nowości ze zbiorów Biblioteki Publicznej w Częstochowie polecał*

**Zbigniew Stańczyk**

## „Polscy Ślązacy oskarżają”

Wydawnictwo Akademii im. Jana Długosza wydało książkę prof. Franciszka Antoniego Marka, pracownika AJD, byłego pierwszego wybranego demokratycznie rektora Uniwersytetu Opolskiego, przez jedną kadencję sędziego Trybunału Stanu - „Polscy Ślązacy oskarżają”.

Książka dotyczy bardzo delikatnego problemu polskości Ślązaków, znanego Profesorowi z autopsji, pozwala czytelnikowi poznać prawdę o dziejowych perturbacjach ludzi zamieszkujących Śląsk, ich wyborach, postawie, moralności i honorze, a także prawdę o ich losach, poglądach i historycznych uwarunkowaniach i zawiłościach.



Autor przywołuje do życia pojęcie patriotyzmu, obiektywizmu dziejowego, mądrości politycznej, zwykłej przyzwoitości, chrześcijańskiej cywilizacji, a także wierności ideałom. Pisze o duchowych przywódcach regionu śląskiego pochodzenia, tj. Wojciechu Korfantym, prymasie Augustynie Hlondzie i kardynale Bolesławie Kominku, ich niewątpliwych zasługach na trudnej drodze do pojednania narodów polskiego i niemieckiego. Książka zawiera bolesną konstatację, że - zdaniem ignorantów - polscy Ślązacy nie istnieją, co udowadniają metodą ośmieszania i przemilczania. Profesor szuka odniesień do szeroko pojętej polityki dnia dzisiejszego, nastawionej nie na wyższe wartości, a na partykularne interesy ludzi sprawujących władzę. Stawia też wprost gorzkie pytania tym, którzy nie chcą uznać historycznych faktów. Ujawnia ciekawe losy śląskich urzędników, ich narodowe przeistoczenia, i z tego powodu oraz ze względu na pewną hermetyczność, limitowaną małym nakładem, książka jest godną polecenia.

**Joanna Grochowska**

**Jakub M. Rawinis**

## **COŚ Z NICZEGO**

Ostatnia premiera na scenie kameralnej Teatru im. Adama Mickiewicza, „Wariacje Bernhardowskie” Przemysława Fiuągajskiego w reżyserii Gabriela Gietzky’ego, była więcej niż kameralna. Była wręcz minimalistyczna. Można nawet powiedzieć, że na scenie „nie było niczego”. Poza dwójgim aktorów. Okazało się jednak, że tyle wystarczyło.

Przyznam, że idąc do teatru, miałem niejakie obawy ze względu na awangardowość materiału. „Wariacje” nie są sztuką. Jest to monolog piętnujący zwyczaj polskiej akademii muzycznych (a w szerszym sensie – także innych uczelni): miałość profesorów, niechętnie patrzących na zdolnych wychowanków, zawiść, równanie studentów w dół, nikomu niepotrzebne wykłady, na których nie można się niczego nauczyć, a tylko „pan profesor mówi, a studenci piszą! (...) Piszą, bo wypadła pisać, piszą, bo wszyscy piszą” itd. Nowość polega na potraktowaniu tekstu. Widać, że autor jest także kompozytorem, choć przedstawienie odbywa się bez muzyki, jeśli nie liczyć pojedynczych akcentów. Tekst bowiem został rozpisany, niczym partytura, na dwie osoby. I nie jest to proste wypowiedzenie żalów pod adresem szkolnictwa muzycznego. Ulega mianowicie przekształceniom, żeby nie powiedzieć – zniekształceniom, zgodnie z zasadami wariacji w muzyce. Zmienia się intonacja, rytm słów, ich kolejność, i często uzyskane dźwięki odbiegają w absurdalny sposób od komunikatu wyjściowego.

Dwójka aktorów bierze udział w „Wariacjach Bernhardowskich”: Adam Hutyra oraz Iwona Chołuj. Asystować im powinien Robert Rutkowski jako dyrygent, który oczywiście nic nie mówi, tylko kontroluje, żeby wszystko było w porządku. Jednak w dniu premiery przygotowywał się on do innego przedstawienia i w dyrygenta wcielił się sam Gietzky. O ile jednak aktorzy strojami przypominali śpiewaków operowych, to reżyser, w białej koszuli i cyklistówce, wyglądał, jakby właśnie przyszedł na chwilę z dacy. Bardziej markował niż grał; jego rola polegała głównie na dawaniu znaków obsłudze sceny oraz światłu i dźwiękowi.

Aktorzy, moim zdaniem, wspinają się na wyżyny. Gdyby nie ich interpretacja, to przedstawienie byłoby zwykłym bełkotem. Tymczasem w zastosowanej metodzie wariacji objawia się muzyczność mowy. Mówcy wzajemnie się uzupełniają. Czę-

sto bywa tak, że mówią jednocześnie, a mimo to komunikat pozostaje zrozumiały; a to dlatego, że jedno z aktorów mówi głośniejsze, a drugie stanowi dla niego jakby akompaniament. Iwona Chołuj może krzyknąć, a może też popaść w to, co nazywam „interpretacją fizjologiczną” – z mamrotaniem, jękaniem się itp., co widzieliśmy na przykład w „Ożenku”, a co niekoniecznie musi się podobać. Hutyra zaś interpretuje tekst całym ciałem – trzęsie się, skręca i podskakuje, frenetycznie i obsesyjnie wyrzucając kolejne partie tekstu.

Nie będę się rozwodził nad scenografią, bo ta praktycznie nie istnieje. Za jedyne rekwizyty służą pulpity nutowe, na których leży... tak jest! partytura. Pod koniec spektaklu, gdy Hutyra z pasją wykrzykiwał: „Koniec! Koniec!”, Gabriel Gietzky odwrócił się do publiczności i pokazał jedną z kartek partytury, zapisaną od góry do dołu słowem „Koniec”. Żeby nikt nie pomyślał, że to improwizacja. W tym kontekście pewną dezorientację stanowi plakat, na którym widać oboje aktorów wykonujących różne gesty z użyciem papieru nutowego, a także np. Iwonę Chołuj wożącą Adama Hutyra na plecach, tego ostatniego z lornetką itp. Na scenie wykonawcy zachowują się jak śpiewacy, to jest stoją w miejscu i nie stykają się ze sobą.

Dawno już nie zdarzyło mi się słyszeć takiego śmiechu publiczności, jak na „Wariacjach Bernhardowskich”. Bywały momenty, kiedy w taki sposób reagowała cała sala. Zapewne po części dlatego, że widzowie znają z autopsji problemy poruszane przez Fiuągajskiego; częściowo zaś z powodu nieodparcie zabawnego efektu, jaki dają wariacje dokonywane nie na muzyce, lecz na materiale słownym. Mając w pamięci „Ożenek” w reżyserii Gietzky’ego, dochodzę do wniosku, że gdyby dawał mu do zrobienia tylko awangardę, to teatr częstochowski bardzo dobrze by na tym wyszedł.

*P.S. Przed rozpoczęciem przedstawienia na scenę wyszedł dyrektor teatru Robert Dorosławski i zabrał przemowę, między innymi na temat: „Co planuje nasz teatr w najbliższym czasie”. Dyrektor uprzedził, że przedstawienie jest krótkie, więc on może mówić nieco dłużej. Żyjemy lekką obawę, że jeśli tak dalek pójdzie, to w przyszłości spektakle będą coraz krótsze, a przemowy dyrektora coraz dłuższe. A stąd już tylko krok do popisów solowych zwanych „stand-up comedy”. Obyśmy nie dożyli czasów zupełnego zaniku przedstawień teatralnych na rzecz amerykańskiego sposobu rozbawiania publiczności.*

## Zachęta

Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie otrzymało od miasta stałą siedzibę. Budynek dawnej Konduktorowni wyremontowano pięknie - aż się świeci. Towarzystwo Zachęta świeci zaś obietnicami organizowania tu licznych imprez o charakterze artystycznym. Inauguracja już wkrótce - podczas Dni Częstochowy.



*Podpisanie umowy przekazującej Zachęcie budynek Konduktorowni. Na fotografii, od lewej: Panowie Prezydenci: Tadeusz Wrona i Zdzisław Ludwin oraz Panowie Prezesi: Piotr Głowacki, Szymon Parafiniak, Jacek Lydzba*

## Po Nocy Kulturalnej

Co najmniej 7 tysięcy częstochowian wzięło udział w tegorocznej edycji Nocy Kulturalnej, zorganizowanej pod hasłem „Bezsennosc... w Częstochowie”. Ponad 80 różnych imprez podczas jednej nocy to zasługa OPK „Gaude Mater”, Stowarzyszenia POTO, instytucji kultury, pubów, restauracji i kawiarni. Według organizatorów, sprzedano rekordową ilość kart wstępu (5500, a były po 8 zł), uprawniających do wejścia na wszystkie imprezy.

Trwają prace nad przygotowaniem kolejnej edycji Nocy Kulturalnej, która znajduje coraz więcej zwolenników także wśród przebywających w naszym mieście turystów i pielgrzymów. Ponieważ Noc odbędzie się dopiero w czerwcu 2008 roku, do tego czasu będziemy zmuszeni chodzić na imprezy w ciągu dnia. Podobnie jak w innych miastach.



## Dotacje dla zabytków

Radni przyznali 500 tys. zł. zł na prace konserwatorskie, restauratorskie i roboty budowlane przy obiektach zabytkowych w naszym mieście. Samorząd zachęca właścicieli ważnych dla Częstochowy zabytkowych budynków do ich odnowienia i remontowania. Dotacje otrzymali:

- Czesław Soluch – 70 tys. zł na remont elewacji frontowej kamienicy przy Alei NMP 71
- Rzymskokatolicka Parafia Archikatedralna p.w. Świętej Rodziny – 100 tys. na remont i konserwację Archikatedry przy ul. Krakowskiej 18
- Klasztor Ojców Paulinów p.w. Świętej Barbary – 35 tys. na konserwację ośmiu rzeźb kamiennych zdobiących elewację kościoła Św. Barbary
- Klasztor Ojców Paulinów na Jasnej Górze – 50 tys. na prace konserwatorskie przy Bramie Matki Boskiej Bolesnej na Jasnej Górze
- Ryszard Kociszewski – 40 tys. na remont elewacji frontowej kamienicy przy ul. Kilińskiego 16
- Parafia Rzymsko-Katolicka Św. Zygmunta – 130 tys. na remont elewacji frontowej kościoła
- Mieczysław Jezierski, Tadeusz Jezierski, Izabela Jezierska-Kisiel – 23 tys. na remont elewacji frontowej kamienicy przy Alei NMPanny 28
- Elżbieta Woszczyk, Adam Woszczyk, Jacek Fatyga – 52 tys. na remont zniszczonej elewacji frontowej budynku przy Alei Wolności 10

To bardzo dobry kierunek działania miejskiego samorządu. Każdy z mieszkańców może pójść i sprawdzić, jak idą prace remontowe. A idą.

## Stypendia twórcze i artystyczne

Prezydent Częstochowy wręczył stypendia twórcze i artystyczne za rok 2007. Przyznano je w 4 kategoriach - teatr, taniec, muzyka, sztuki plastyczne. Przyznano 40 stypendiów – na 82 zgłoszone wnioski.

Stypendia cykliczne dla uczniów - od 150 do 200 złotych – wypłacane są przez 10 miesięcy. Stypendia cykliczne dla studentów - 300 złotych – przez 9 miesięcy. Stypendia jednorazowe wynoszą od 1600 do 3000 złotych (w zależności od zakresu programu stypendialnego).

Gratulujemy i czekamy na widoczne oznaki wzrostu sił twórczych młodych artystów.

## Dla turystów

W związku z sezonem pielgrzymkowo-turystycznym Wydział Komunikacji Społecznej UM zrealizował kilka inicjatyw promujących Częstochowę.

Naszą uwagę zwróciła kampania promocyjna prowadzona na lotniskach położonych niedaleko Częstochowy (Katowice-Pyrzowice, Łódź, Kraków-Balice, Warszawa).

Pomysł wydaje się dobry, choć nieco wyprzedza tzw. realia – samoloty lądują w Częstochowie raczej rzadko. Częściej przyjeżdżają tu pociągi. Może więc warto promować się na dworcach i stacjach kolejowych.

## Alejami

„Konkurs na koncepcję architektoniczną zagospodarowania Placów Daszyńskiego i Biegańskiego w Częstochowie wraz z łączącym place odcinkiem Alei Najświętszej Maryi Panny” został rozstrzygnięty.

Sąd konkursowy wybrał (większością głosów) koncepcję przedstawioną przez zespół projektowy w składzie Paweł Korzewski i Marek Chmura z pracowni Architektury „Forma” Sp. z o.o. z Częstochowy.

Zwycięski projekt określa się jako „kontrowersyjny”. Będą podobno nowe rozwiązania komunikacyjne, architektoniczne i wodne!

## Radio, kawa i herbata

Lato okazało się w Częstochowie bardzo ludne i rozrywkowe. W naszym mieście m.in. rozpoczęły swoje wakacyjne wydania popularne programy ogólnopolskie: telewizyjna „Kawa czy herbata” oraz „Lato z radiem”.



Centralny plac miasta jest dobrym miejscem do organizowania imprez. Żeby jeszcze nie był tak hałaśliwy!

## 100 lat Słowackiego

Na połowę października zaplanowano obchody stulecia I Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Słowackiego. Dyrekcja szkoły zaprasza wszystkich Absolwentów i Przyjaciół na uroczystości rocznicowe.

# WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 4

## Le Vorecą Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

### DO WOJA MARSZ!

W armii polskiej przyszedł czas na zmiany. Mówi się to o powołaniu Polskiej Legii Cudzoziemskiej, to o przeksztalceniu wojsk specjalnych w osobny rodzaj sił zbrojnych. W ramach tego ostatniego przedsięwzięcia mjr Jacek Deuteroteleutos, wykladowca prestiżowej Szkoły Broni Plebejskiej w Baraktown, wystąpił z inicjatywą sformowania ochotniczego Batalionu Specjalnego Środowisk Twórczych (na wzór angielskiego Artists' Rifles). Preferowanymi będą twórcy o wysokiej kondycji fizycznej, jako to rzeźbiarze, tancerze i aktorzy, ale dla innych też znajdują się etaty. Mjr Deuteroteleutos liczy na szeroki odzew, gdy we wrześniu pojawi się z bębנם werbukownym na Placu Biegańskiego.

### STRZEŻ SIĘ, MECENASIE!

Jeden z częstochowskich biznesmenów postanowił wykazać się smakiem. Zamówił więc u artysty malarza Andrzeja Kadurka dwa portrety – swój i żony – by zawiesić je w biurze. Niestety, nie wziął pod uwagę, że ma do czynienia z artystą awangardowym, i nieco się zdziwił na widok portretów. Malarz „zapomniał” namalować naszemu biznesmenowi głowę powyżej nozdrzy, a to sportretował go w brudnym podkoszulku. Żona biznesmena trzymała zaś na rękach, niczym „Dama z lasicą”, wielką ropuchę, która odgrzybla jej ucho. Mecenas trochę się zdenerwował i odmówił wypłacenia honorarium, za co mistrz Kadurek podał go do sądu. Apelujemy: z artystami lepiej uważać!

### NOWINY URBANISTYCZNE

Od czasu do czasu pojawiają się mody na określone dzielnice miasta. Specjaliści przepowiadają, że już wkrótce popularnym stanie się Mirów i Złota Góra, a w szczególności kamieniolomy. Postanowili to wykorzystywać prof. Juho Yhtola, fiński architekt nazywający siebie „niezrozumianym geniuszem”. Po tym, jak odrzuciono jego projekt umieszczenia w Alejach pawilonów w stylu neouturpistycznym, wpadł na pomysł wybudowania na częstochowskim wapienniku kopii piramidy Cheopsa w skali 1:1. Profesor oczekuje na decyzję władz i oczywiście na finanse. My jednak sądzimy, że piramida Chefrena w zupełności wystarczy (do Mykerinosa, jako do mitycznego założyciela, rości sobie prawo Mykanów).

### NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU

Nareszcie mianowany został nowy dyrektor Operetki Częstochowskiej. Zostanie nim Józef Cudzołek-Bachleda, lat 51, aktor szkopski (grał Drugiego Mordercę w „Makbeccie” i „Ryszardzie Trzecim”). Cudzołek-Bachleda jest, jak sam powiada, człowiekiem głęboko zanurzonym w kulturze. Jego pierwsza sztuka, napisana w wieku lat siedmiu, wzbudziła nawet gorącą dyskusję, jej bohaterami byli bowiem nauczyciele ze szkoły autora. Później, w wojsku, pełnił funkcję podoficera kulturalno-oświatowego w 6. Dywizji Powietrznodesantowej. W sytuacji, gdy wreszcie Operetka ma dyrektora z prawdziwego zdarzenia, pełniący dotychczas jego obowiązki Wiesław Magyar może wrócić na poprzednie stanowisko: kierownika Miejskiego Przedsiębiorstwa Prasowania Hyzopu.

### OPRAWA WŁADZ

W modzie, prócz szkła i metalu, jest ostatnio wystrój tradycyjny. Wzięli sobie to do serca nasi radni. Jeden z nich zamówił już do sali posiedzeń Rady Miasta sufit kasetonowy jak w Sali Poselskiej na Wawelu. Nie zabraknie także, jak w Krakowie, głów umieszczonych w kasetonach. Zestaw 112 głów powstaje właśnie w pracowni rzeźbiarskiej Grzegorza Samusia. – W pierwszej kolejności wzięłem pod uwagę obecnych radnych, potem poprzednie kadencje – tłumaczy artysta. – Zrobiłem też parę głów na wypadek, gdyby któremś ze znanych częstochowian zdarzyło się przypadkiem dostać do rady. Głowy mają być wymienne stosownie do sytuacji

politycznej, powstają więc specjalne kufry do przechowywania letytn chwilowo nieaktywnych.

### NOWA GALERIA

Nasze miasto wzbogaci się o następną galerię, a mianowicie – o Galerię Sztuki Powstającej. Jej twórcą i kuratorem jest Jacek Tantmīs. Ten przybytek sztuki odznacza się pewną specjalizacją. Przychwyciła mu idea, by zachować dla potomnych i różnych badaczy historii tego, jak powstają dzieła sztuki. W związku z tym Jacek Tantmīs chciałby gromadzić w galerii szkice, studia, obrazy niedokończonych, wczesne wersje, a nawet dzieła nieudane lub zepsute. Procz tego zamierza przeprowadzać z plastykami częstochowskimi rozmowy na temat metod tworzenia, które opublikuje w wersji książkowej. Zapewniamy, że Galeria Sztuki Powstającej oferuje artystom bardzo przystępną cenę za kilogram malarstwa.

### TORERO POD ŁASKIEM ANIOŁOWSKIM

Prawie każdy kraj Europy dołożył się w jakiś sposób do światowej rozrywki. Grecy mają teatr, Irlandczycy puby, Hiszpanie corride. O ile teatr i puby zakorzeniły się już na dobre w naszym kraju, o tyle walki byków jakos nie mogły się przyjąć. Antek Kalong-Gąsienica, Podhalanin studiujący w Częstochowie, postanowił to zmienić, przystosowując corridę do polskich realiów. Innowacja polega na zastąpieniu byka baranem, zaś matador w stroju góralskim, zamiast w szpadę, uzbrojony jest w nożyce do strzyżenia owiec. Popyt na podhalaniska corridę ma przy okazji zahamować spadek zainteresowania hodowlą owiec. Kalong-Gąsienica planuje zbudować pierwszą arenę przy Promenadzie, nieopodal SP 54.

### ROCZNICE

21 lipca 1969 – Louis Armstrong i Glenn Miller wyładowali na Księżycu.

12 sierpnia 1997 – w Wanatach w wieku 149 lat zmarł Śri Bombahadur Varunaputra Abrahams, zwany Cadykiem z Bombaju. Ten przywódca ruchu turbochasydów zasłynął między innymi opublikowaną w dziele „Ein Tesech Steshochau” teorią, że kilkadziesiąt metrów pod Częstochową znajduje się druga, paralelna (znana również pod nazwą Rządokochowa). Koncepcja ta do dziś ma w naszym mieście oddanych zwolenników.

### JAMAJSKA INWAZJA

Już od prawie roku rozkwit przeżywa częstochowska scena reggae. Niedawno ukazała się najnowsza płyta zespołu Obadiah Sound System – „Obadiah śpiewa Młynarskiego”. Jak stwierdza lider zespołu, Krzysztof „Nygus” Łękocki, komentujące rzeczywistość teksty Młynarskiego wydają się jakby stworzone dla pulsacji reggae. Na płycie można usłyszeć różne style, od czystego reggae, poprzez wpływy rockowe i dynamiczne ska, aż do dancelhallu i raggamuffin. Kulminację stanowi zaś „esteśmy na wczasach”, gdzie rotsowskie granie jakby rodem ze slumsów Kingston przeplata się z hipnotycznym dubem, słowa zaś są śpiewane w języku taroetiopskim (tłumaczenie Nygusa). Klawiszowiec grupy, Grzegorz „Nabab” d’Arquien, twierdzi, że gdyby Bob Marley spotkał się z Wojciechem Młynarskim, efekt ich współpracy brzmiałby właśnie tak.

### SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

W najbliższym okresie w Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 odbędą się dalsze zjęcia dla młodych artystów. Na 18 sierpnia zapowiadany jest wykład Jerzego Tryptera „Jazz okrucieństwa – teoria i codzienna praktyka”. Po wykładzie wystąpi zespół Tryptera, Kappukku Quartet. Natomiast 23 sierpnia dr Jan Gogh wystąpi z prezentacją na temat „Dadaizm w rzeźbie nagrobkowej”.

**Zbigniew Burda**, częstochowianin. Fotografik, fotograf i fotoreporter. Absolwent Studium Fotografii Artystycznej w Katowicach (1987). Przez wiele lat aktywny uczestnik prac Towarzystwa Fotograficznego w Częstochowie. Autor okładek i zdjęć do książek historycznych i popularno-naukowych, okładek i książeczek do płyt CD, albumów o znanych częstochowskich artystach, albumów prezentujących Częstochowę, map i folderów turystycznych. Prace prezentował na wystawach indywidualnych i zbiorowych, m.in. „Hot Jazz Spring nad Wartą ... lub jak ktoś woli ... z Louisem w tle” (podsumowanie 5. edycji Festiwalu Jazzu Tradycyjnego w Częstochowie, Filharmonia Częstochowska 2007) oraz „Wędrowcy” (Miejska Galeria Sztuki, 2007). Koordynował prace nad wydaniem albumu pt. „Ojciec Święty Benedykt XVI w obiektywie częstochowskich fotoreporterów”, w którym zamieścił także swoje fotografie (2006).

Na okładce - *Madonny Częstochowskie*



Fot. Piotr Kras



Marek Pijarowski



Grzegorz Markowski, „Perfect”

